NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor — 4 Mrk — 1 Rsb 80 kop z przesyłką pocztową 2 Rsb 60 kop Półrocznie 8 kor — 8 Mrk 3 Rsb 60 kop., z przesyłką pocztową 6 Rsb 20 kop Rocznie 16 kor. — 16 Mrk.— 7 Rsb 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW**, ZACISZE 7. Nr TEL 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.

Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 17 kwietnia 1909. Nr. 16.

Zamordowanie redaktora w Konstantynopolu.



TREŚĆ NUMERU: **Krwawy bunt więźniów u św. Michała.** — Skandaliczna bójka w parlamencie włoskim. — Nowa pinakoteka watykańska. — Katastrofa w Inowrocławiu. — Echo tragedyi. — Amazonki czarnogórskie. — Wyścigi na morzu. — Następca lorda Kitchenera. — Austryacki aeroplan — Siostry syamskie. — Wystawa warsztatów studenckich i t. d.

Zamordowanie redaktora w Konstantynopolu.

(Do illustracyi tytułowej).

Stosunki polityczne w Turcyi dają światu całemu od długiego czasu dużo sensacyjnego żeru. Walka namiętna toczy się tam nietylko między rządem a stronnictwami. Same stronnictwa zwalczają się nawzajem, często środkami bardzo radykalnymi, nie zważając na ich wybór.

Zwłaszcza komitety młodotureckie, które dziś są właściwie stronnictwem rządzącem, usuwają swych przeciwników bardzo często środkami terrorystycznymi, posługując się nożem lub rewolwerem.

Ostatnią ofiarą tych stosunków jest Hassan-Femi bej, naczelny redaktor dziennika *Serbesti*. Szedł on w środę ubiegłego tygodnia w towarzystwie pewnego wysokiego urzędnika przez most, prowadzący do Galaty. Nagle zbliżył się doń jakiś człowiek w mundurze wojskowym i dał do redaktora Hassana pięć strzałów rewolwerowych. Hassan-Femi bej padł bez życia, a jego towarzysz odniósł ciężką ranę. Sprawca zaś mordu zdołał ujść bezkarnie.

Hassan-Femi był przedstawicielem idei unii liberalnej i w piśmie swem atakował ostro komitet młodoturecki, w szczególności Achmeda Rizę i innych wybitnych członków tego komitetu. Stąd też powszechne jest zdanie, iż mord ten jest sprawką Młodoturków, którym polityka Hassana była nie na rękę.

Wypadek ten wywołał w Konstantynopolu wielkie wrażenie. Ogół ludności jest oburzony i nie kryje się z niechęcią przeciw zwolennikom polityki terroru. Odbył się szereg zgromadzeń i wieców, na których zapadły rezolucye, domagające się od wezyra surowego śledztwa, wykrycia winowajcy i ukarania go śmiercią. Powtarzają się też demonstracye przed dziennikami młodotureckimi.



Zgon wielkiej artystki: Ś. p. Helena Modrzejewska-Chłapowska.

Demonstracye powtórzyły się w czasie pogrzebu redaktora Hassana.

Rycina nasza na stronie tytułowej przedstawia chwilę tragicznego zgonu ofiary polityki młodotureckiej.

Zgon wielkiej artystki.

Na Dalekim Zachodzie, za Oceanem, zmarła przed kilku dniami największa współczesna artystka dramatyczna polska, a jedna z największych i z najznakomitszych w świecie całym, Helena Modrzejewska-Chłapowska.

Śmierć jej okrywa żałobą sztukę dramatyczną polską, której najznakomitszą, najświetniejszą była Modrzejewska przedstawicielką. Dla nas zasłużoną tem więcej, że imię polskie wsławiła szeroko po za granicami Polski, na scenach prawie wszystkich większych miast europejskich.

Helena Modrzejewska urodziła się 1842 r. w Galicyi z artystycznej rodziny Bendów i wcześnie rozpoczęła karyerę sceniczną, występując naprzód w teatrach prowincyonalnych, a następnie wteatrze lwowskim i krakowskim. Jej pierwsze występy zwróciły uwagę na nadzwyczajny, imponujący talent, który uderzał nawet w rolach, nieodpowiadających indywidualności młodej artystki. W całej pełni zabłysnął talent Modrzejewskiej na scenie warszawskiej, gdzie kreowała z ogromnem powodzeniem szereg postaci Szekspirowskich.

Wyszedłszy następnie za mąż za Karola Chłapowskiego, wyjechała do Anglii, a opanowawszy w tym czasie język angielski, wystąpiła w 1880 r. w Londynie i występem swym zdobyła odrazu imię znakomitej, świetnej artystki. Dalsza jej karyera w Anglii, a następnie w Ameryce, oraz szereg gościn w ojczystych krajach, to jeden wielki pochód tryumfalny. Opromieniona sławą najznakomitszej artystki, wy-



Ze wspomnień przedświątecznych: Stragany z wędlinami na Rynku krakowskim.

stępowała Modrzejewska we wszystkich niemal większych miastach Ameryki Północnej, wszędzie przyjmowana z entuzyazmem i czcią, występowała też na scenach polskich, nietylko sławiona jako wielka artystka ale i kochana jako patryotka i obywatelka zacna.

Z długiego szeregu jej ról najbardziej znane, to Szekspirowskie: Ofelia, Marya Stuart, Lady Makbet, Julia, to francuskie: Adryanna Lecouvreur, Dalila, Dama Kameliowa, Dora, a dalej w „Safandułach“, „Rozwiedźmy się“, „Don Carlosie“ Szylera, „Gnieździe rodzinnem“ Sudermana itd.

Bardzo obszerny był także jej repertuar sztuk polskich. Obejmował on nietylko rzeczy dawnych autorów, Fredry, Korzeniowskiego, Słowackiego, ale i autorów ostatniej doby. Pamiętny jest jej występ, ostatni w Krakowie i we Lwowie, w roli Maryi w „Warszawiance“ Wyspiańskiego.

Kreacye Modrzejewskiej były wszystkie wspaniałe, wszystkie były owiane czarem poezyi i natchnienia. Jako prawdziwa kapłanka sztuki, w grze swej i całym sposobem ujmowania kreacyi scenicznych przypominała klasyczne greckie piękno, w którym wdzięk gestu, cudna rzeźba słowa, nadzwyczajna zdolność akcentowania słów i modulowania głosu, kojarzyły się w pełną harmonię artystycznego wyrazu.

Więc nad grobem tej wielkiej, tej genialnej artystki polskiej wszyscy płaczemy i wszyscy wołamy: Cześć jej pamięci!

Ze wspomnień przedświątecznych.

Minęły święta Wielkanocne, minęły bezpowrotnie — aż do następnego roku. Ruch, który panował przez kilkanaście dni w całem mieście, osłabł, kupcy odpoczywają, licząc zarobki i z żalem wspominając „dobre czasy“.

Opustoszał ogromny Rynek krakowski, gdzie przez szereg dni wznosił się długi rząd budek i straganów, pełnych szynek, kiełbas i innych specyałów masarskich. Tam to sprzedawali krakowscy rzeźnicy z pod znaku wieprza swoje słynne na cały świat wyroby. W budkach tych i straganach zaopatrywała się na święta ludność uboższa, której finanse nie pozwalały na zakupna w sklepach firm pierwszorzędnych, jak Bialik, Satalecki i t. d.

Wspólny jednak i ten sam los spotkał świąteczne szynki, bez względu na to, skąd pochodziły. Czy z wspaniałego sklepu, czy z ubogiej, skromnej święcona szynka nie zaszkodzi, a przynajmniej mniej, niż zwyczajna, choć się jej więcej zjadło.

Święcenie szynek, kiełbas, bab, placków i tortów, to tradycya odwieczna, przestrzegana pilnie przez całą ludność polską i katolicką. Odbywa się



Katastrofa w Inowrocławiu: Portal północny kościoła N. Maryi Panny po katastrofie.

budki na Rynku. Pochłonęły je bezdenne przepaści ludzkich żołądków. Pochłonęły zaś tem chętniej i gorliwiej, że przebyły poprzednio kuracyę postną.

Do podniesienia wartości smakołyków świątecznych przyczyniło się nie mało i to, że były one poświęcone. Zawsze spodziewać się można, że pono przeważnie w wielką sobotę popołudniu a wczesnym rankiem w niedzielę. W sobotę chodzą księża po domach prywatnych, w niedzielę zaś znosi się „święcone“ do kościołów, gdzie księża masowo odbywają przepisaną ceremonię.

Z rycin naszych, jedna przedstawia szereg stra-



Katastrofa w Inowrocławiu: Ogólny widok kościoła N. Maryi Panny po katastrofie.



Nowa pinakoteka watykańska: Papież Pius X. (X) w otoczeniu swego dworu.

na pierwszej połowie ubiegłego stulecia. Doskonałe oświetlenie, w jakiem te obrazy zostały pomieszczone, bardzo umiejętna ich restauracya, ścisłe rozsegregowanie wedle szkół, zgromadzenie ich w tem samem miejscu — poprzednio były rozrzucone po całym Watykanie — a również usunięcie z pomiędzy nich rzeczy słabszych, wszystko to czyni świeżo otwartą pinakotekę jednym z najcenniejszych zbiorów sztuki włoskiej.

Ryciny nasze przedstawiają: jedna Ojca św. Piusa X-go, gdy wsiada do powozu, aby przez ogrody watykańskie udać się na otwarcie pinakoteki, druga zaś Piusa X-go w otoczeniu dostojników duchownych i świeckich po zwiedzeniu tejże pinakoteki. Po prawej stronie papieża stoi prof. d'Acchiardi, którego staraniom należy zawdzięczać urządzenie nowej pinakoteki, po lewej — monsignore Misciuttelli, prefekt pałaców watykańskich.

W oczekiwaniu następcy tronu.

W całej Holandyi panuje ogromne napięcie, ludność z ogromną niecierpliwością wyczekuje wiadomości z pałacu królewskiego i pilnie odczytuje biuletyny o zdrowiu królowej, które codziennie pojawiają się na murach miasta. Niema się i czemu dziwić, Holendrzy pragną koniecznie następcy lub choćby następczyni, bojąc się, by w razie bezpotomności władczyni nie dostali się z czasem pod panowanie Prusaków, których, choć rasą pokrewni, nienawidzą z całego serca.

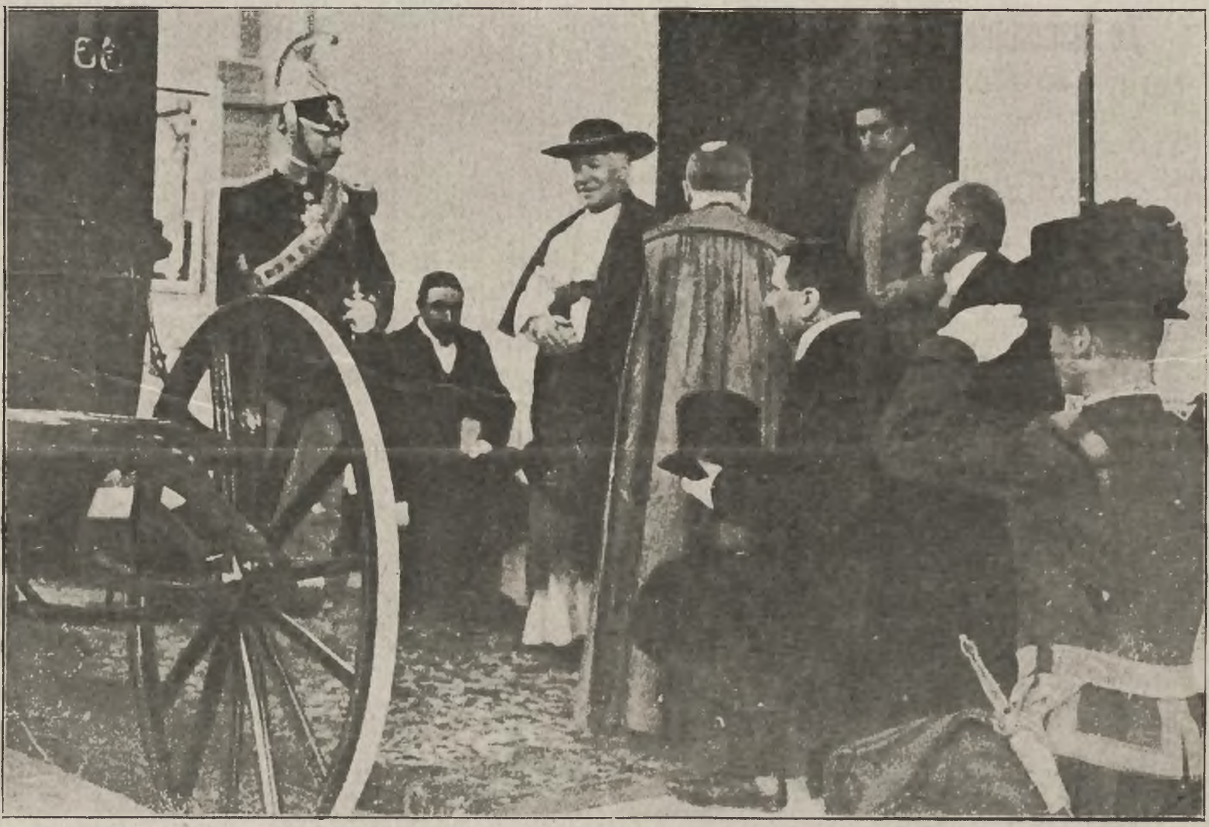
ganów z kiełbasami i szynkami na Rynku krakowskim, druga jednego z kapłanów, gdy otoczony dziatwą opuszcza kamienicę, gdzie dokonał poświęcenia świątecznych artykułów.

Nowa pinakoteka watykańska.

Dzięki zarządzeniom Ojca św. Piusa X-go, wynikającym z jego zamiłowania do sztuk pięknych, pozyskał Rzym nowe wspaniałe muzeum obrazów, pomieszczone w skrzydle t. zw. Belwederskiego dziedzińca Watykanu. Od najdawniejszych już czasów papieże gromadzili rozmaite dzieła sztuki w pałacach, które zamieszkiwali, a teraz, gdy Watykan stał się ich jedyną własnością i rezydencyą, naturalnem schronieniem tych skarbów stał się ten pałac właśnie.

Muzeum, o którem mowa, noszące nazwę pinakoteki watykańskiej, zawiera stosunkowo niewielką ilość obrazów, bo tylko 277, ale zato samych prawie arcydzieł, rozwieszonych w siedmiu salach. Pierwsze miejsce wśród nich należy się cudownemu „Przemienieniu“ Rafaela, którego, jak wiadomo, śmierć nie pozwoliła dokończyć mistrzowi nad mistrzami. Dalej idą bezcenne płótna Tycyana, Domenichina, Guilio Romano, z dawniejszych Perugina, Giotta, z późniejszych Guercina, Ribary, Caravaggia itd.

Na ogół znajdują się w tem muzeum obrazy malowane, począwszy od wieku XIV-go, a skończywszy



Nowa pinakoteka watykańska: Papież Pius X. udaje się na otwarcie pinakoteki watykańskiej.



Ze wspomnień przedświątecznych: Kapłan opuszczający dom, po dokonaniu poświęcenia.

Przy łożu królowej, której rozwiązania spodziewają się lada dzień, czuwa nieustannie słynny ginekolog, profesor Komoer, w jednej z komnat zamkowych obok pokoju pacyentki oczekuje minister sprawiedliwości, aby z urzędu sprawdzić płeć noworodka i wydać odpowiednie zarządzenia.

W całym kraju poczyniono wielkie przygotowania do uroczystości publicznych, z których w całej pełni jaśnieje miłość i przywiązanie ludu holenderskiego do swej dynastyi. W większych miastach ogłoszą radosny fakt heroldowie, przybrani w starożytne kostyumy, a biedni w całym kraju będą w tym dniu goszczeni przez municypia. W kościołach rozdzieli się jałmużny i wsparcia, w samej Haadze złożyli tamtejsi bankierzy na ten cel pół miliona guldenów. Kilka miast funduje z tej okazyi zakłady dla niemowląt, a w Maastricht powstaje szkoła akuszerek z bezpłatnym pensyonatem na 120 kandydatek. I armia bierze żywy udział w oczekiwaniu, oficerowie zrzekli się nawet świątecznych urlopów, aby w chwili uroczystej być na swych stanowiskach. Z całego kraju i zagranicy nadchodzi mnóstwo podarków dla matki i przyszłego dziedzica tronu. Wystawiono je w sali recepcyjnej.

Rozwiązanie nastąpi około 17 kwietnia; obwieszczą je narodowi strzały armatnie, które oznajmią i płeć przyszłego władcy. W całym kraju odbywają się nabożeństwa błagalne celem uproszenia szczęśliwego przebiegu rozwiązania.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

16 Ciąg dalszy.

— I lalki także. Ja już mam jedną dużą, taką jak prawdziwe dziecko i pokój sypialny dla niej i sukienki. O, on mi wszystko daje.

— A ten drugi ojciec? — zapytał nieśmiało.

— Mój drugi tatuś inaczej mnie kocha. Kocha ze sercem... Jego zabawki nie są takie ładne, jak tamtego, ale ja je wolę...

— A tego tatusia często widujesz?

Zaczęła ciszej mówić:

— Przedtem to go widywałam często, bo u niego mieszkałam, lecz mnie mamusia wzięła ze sobą i z drugim tatusiem; bardzo smutna byłam, bo chciałam go widzieć.

— Ale ty kochasz mamę?

— No tak, czyż można nie kochać takiej mamusi, jak moja?

Przez chwilę milczeli.

— Ty masz ładne imię — rzekł Jacek z przekonaniem — Gizela.

— Prawda, bardzo eleganckie. Ja je dopiero mam, odkąd mieszkam z drugim tatusiem. Przedtem miałam inne, ale także ładne.

— Jakie?

— Nie mogę powiedzieć, nie wolno mi.

— Potem dodała:

— Ja pewnie źle robię, że to wszystko mówię. Gdyby mamusia wiedziała, toby się na mnie gniewała.

— Dlaczego?

Spojrzała na Jacka poważnie i rzekła z tajemniczą miną:

— Przecież to są tajemnice rodzinne.

Jacek opuścił głowę zawstydzony, że o tem nie wiedział, a zarazem zadowolony, że zasłużył na takie zaufanie.

— Podoba ci się Wenecya? — zapytała.

— Tak, bardzo..

— A mnie nie. Tu wszystko smutne; nic, tylko woda i czarne łodzie i wszystkie takie stare. Niema ani koni, ani karet, ani samochodów.... Ja lubię Paryż.

— O, tak, Paryż — powtórzył machinalnie Jacek. — Tam są wielkie sklepy z zabawkami i wieża Eiffel!

— Ja lubię i wieś, mój pierwszy tatuś kocha bardzo swój domek, cały zielony. Tam za ogrodem płynie rzeczka, tatuś łowił ryby, a ja na łódce jeździłam.

— Naszą gondolę widziałaś? — zapytał Jacek z dumą.

— Tak. Jabym wolała motorówkę, prędzej jeździ.

Widząc, że się zasmucił, dodała:

— Ale twoja gondola jest bardzo ładna.

— Gizelo — zawołał Jacek wzruszony — jabym chciał być zawsze twoim przyjacielem.

Odpowiedziała, schylając głowę:

— Ty jesteś bardzo miły.

Zarumienił się z radości.

— Dzieci!... — zawołała pani Le Chars.

— I twoja mamusia mi się podoba, ona bardzo dobra.

— O, tak, tak — odpowiedział Jacek z przekonaniem.

Doszli do swych matek.

— Więc pan Le Chars — mówiła pani de Pre-Hautre — nie uzna za niedyskretną mojej wizyty?

— Mój mąż jest bardzo uprzejmy — odparła spokojnie Joanna.

— O której porze będę najmniej przeszkadzała?

— Zawsze można męża zastać między jedynastą, a dwunastą. Jeżeli pani pragnie, uprzedzę go o wizycie pani.

— Jak pani jest miłą! A więc do jutra!

— Przez ten czas Jacek i Gizela będą się mogli bawić w ogrodzie.

— Ach, jak to dobrze! Muszę już panią pożegnać, gdyż mam kilka osób na obiedzie, a potem idziemy do teatru.

— Jeżeli pani nie bardzo się spieszy, mogłabym odwieźć swą gondolą.

— Serdecznie dziękuję, ale weźmiemy motorówkę.

Pani Le Chars, trzymając za rękę Jacka, szła w chwilę potem do przystani. Niedaleko brzegu spotkała się ze wzrokiem, utkwionym w siebie, jakiejś starszej damy, o włosach prawie zupełnie siwych. W wyrazie jej twarzy malowała się szczerość, a zarazem i pewność siebie: Angielka lub Amerykanka? Najprawdopodobniej Amerykanka. Ubrana była skromnie, ale elegancko z wykwintnym smakiem.

Gdy Joanna przechodziła koło ławki, na której siedziała ta dama, usłyszała zwrócone do siebie słowa:

— Przepraszam najmocniej, że ośmielam się, choć nieznajoma, zwrócić się do pani.

Dama ta podniosła się z ławki, mówiąc dalej:

— Obecność moja może wydać się dziwną, lecz bywają wypadki, gdy należy zapomnieć o konwenansach.

Ponieważ pani Le Chars spoglądała na nią zdziwiona, zapytała:

— Czy ten ładny chłopczyk umie po włosku?

— Bardzo nie wiele.

— W takim razie możemy rozmawiać swobodniej. Pani pozwoli, iż się pani przedstawię: jestem Seymour. Wenecya zaś jest zbyt mała, by można było nie znać pani Le Chars, żony konsula francuskiego.

— Jeżeli taka stara kobieta jak ja, nie bardzo jest straszna, może pani zechciałaby kilka chwil posiedzieć ze mną, pragnę otrzymać trochę wiadomości o osobie, która zawsze jest mi droga, a o której pani może mnie najlepiej poinformować.

Czy powiedziałam już swe nazwisko? Ach tak: Seymour... Czy to pani nic nie przypomina? Czy nigdy nie wspominała o mnie najlepsza pani przyjaciółka?

— Pani Seymour! Ależ tak! Aurora bardzo często mówiła o pani.

Przypomniała sobie wszystkie zwierzenia pani Morailles o tej starej przyjaciółce.

— Życie jest tak dziwne — mówiła pani Seymour z akcentem lekkiej melancholii. Gdym opuszczała Francyę, byłam prawie doszczętnie zrujnowana, dzisiaj dzięki pracy i silnej woli odzyskałam majątek, który mi zapewnia spokój na starość. Wtedy pozostawiłam młodą, nieszczęśliwą panienkę, a czy dzisiaj jest ona szczęśliwą mężatką, tego nie spodziewam się.

— Czy pani pozwoli mi przyjść porozmawiać o naszej wspólnej przyjaciółce? Może mnie nie zapomniała jeszcze.

Joanna ani minuty nie wahała się z odpowiedzią.

— Bardzo pożądanym będzie pani gościem.

— Pani poślubiła brata człowieka, dla którego miałam wiele poważania i przyjaźni — mówiła dalej stara Amerykanka. — Ponieważ pani pozwala mi odwiedzić siebie, przyjdę i postaram się dać dowód, że w czasie potrzeby można na mnie liczyć.

Joanna spojrzała na nią: czy słowa te mają jakie ukryte znaczenie?

— Pozwoli pani, że postaram się dowieść tego nawet zaraz. Czy tylko nie weźmie mi pani za złe, jeżeli się zapytam, czy zna pani dobrze tę młodą i przystojną osobę, z którą przed chwilą spacerowała?

— Tak, jak można znać kogoś w kosmopolitycznem mieście, gdzie tyle przebywa przejezdnych.

— To samo myślałam. Nie mam żadnych przesądów, pozwoli jednak pani przestrzedz się, że ta piękna pani nie stanowi dobranego towarzystwa dla uczciwej kobiety.

— Czy pani wie co o niej?

— Mieszkam w jednym hotelu, na jednym korytarzu razem z panią de Pre-Hautre. Zachowuje się ona bardzo swobodnie, co zwraca powszechną uwagę. Utrzymuje ona stosunki ścisłe z osobą, która nie jest panem de Pre-Hautre. Przyjmuje w nocy jego wizyty, które przeciągają się aż do rana.

Joanna zażenowała się.

— Nie wspominała bym o tem, gdyż każdy jest panem swych czynności, lecz zachowanie się tej pani jest już dość głośne i na różne sposoby komentowane.

— Dziękuję najuprzejmiej za przestrzeżenie; zauważyłam w niej pewną nienaturalność, nie wiedząc jednak nic pewnego... Jakże to bolesne, że jej córeczka ma takie przykłady...

— Ale pani zapewne chce już wracać, nie będę zatrzymywała, proszę tylko zanotować mój adres: English hotel. Do prędkiego zobaczenia się.

W tym czasie Maurycy Le Chars po wyjeździe żony i syna wrócił do swego gabinetu i siadł przy biurku. Napróżno jednak starał się zająć czytaniem rozłożonych przed sobą papierów. Myśl jakby zahypnotyzowana powracała ciągle do tej samej rzeczy, która od pewnego czasu mroczyła pogodne jego czoło.

Po wyleczeniu się z opium poddał się nowej namiętności, pod niejednym względem gorszej niż pierwsza, grze w karty. Opium niszczyło tylko jego samego, gra zagrażała spokojowi i dobrobytowi żony i syna. Wsparł głowę na rękach, jakby chciał zakryć przed sobą widok, jaki ciągle nasuwał mu się przed oczy. On przy zielonym stoliku, grający bez myśli nawet o swych najbliższych. Co za wstyd! Do tego stopnia uległ pociągowi do kart, iż wczoraj wieczorem przegrał do hrabiego Olovera dwadzieścia pięć tysięcy franków.

Musiał pisać natychmiast po nie do Paryża, by pożyczyć. Lecz co jutro będzie, co pojutrze? Czy na to wyleczył się z opium, by wpaść w nowe, większe jeszcze nieszczęście? I jak on może teraz spojrzeć w oczy temu zimnemu i dumnemu hrabiemu Olovera i prosić go o zwłokę, tłómacząc się, że pieniądze jeszcze mu nie nadeszły, kiedy kodeks honorowy nakazuje spłacić taki dług w dwudziestu czterech godzinach. Gdyby zdobył się na wyznanie swej namiętności ukochanej żonie, ona jedna potrafiłaby go wydobyć z tej toni, w którą coraz głębiej zapadał. Lecz nie śmiał tego uczynić, z obawy przed utratą jej uczucia i miłości. Nie... niech ona o tem nie wie nigdy... Przecież razu pewnego wygrał jednego wieczoru trzydzieści tysięcy franków, może więc szczęście powrócić do niego. A w razie nowej przegranej?...

Na myśl tę Maurycy Le Chars machinalnie otworzył szufladę biurka i wydobył z niej mały, niewielki rewolwer, nabity ośmioma nabojami. Jeden starczy....

Naraz rozległy się jakieś kroki. Pospiesznie wrzucił rewolwer do szuflady i zamykając ją, powstał gotowy do przyjęcia gościa. To pewno Olovera, pomyślał. Co mu odpowiedzieć? Weszła jednak Joanna, jaśniejąca pięknością. Widząc zasmuconą jego twarz, podeszła do niego i wzięła go za ręce.

— Ty cierpisz, ty zmartwienie masz jakieś. Powiedz mi wszystko.

— Nie, to nic, trochę gorączki... Zdaje mi się, że obecne powietrze Wenecyi wcale mi nie służy. Jeżeli zgodzisz się, to możemy przyjąć zaproszenie i wakacye spędzić we Francyi.

— Wszystko co chcesz, mój ukochany, na wszystko się zgadzam, bylebyś był zdrów; czem my się staniemy bez ciebie?...

— Tak, tak — szeptał wzruszony do łez.

Opuścić Wenecyę — myślał — ten przeklęty zielony stolik i oby Joanna nigdy nic nie wie działa!...

III.

KAT PANI DE PRE-HAUTRE.

Następnego dnia gdy pani, de Pre-Hautre, przyjęta przez Maurycego Le Chars, zwierzała mu się z nieszczęść swego życia i prosiła o pomoc, a Jacek i Gizela pod opieką grubej Ludwiki bawili się w ogrodzie konsulatu, do pokoju Joanny wszedł Denis Friand, sekretarz jej męża.

W ręku trzymał kartę wizytową:

— Przepraszam najmocniej, że pani przeszkadzam...

— Proszę bardzo. Co się stało?

— Jakiś pan, Francuz, domaga się usilnie o przyjęcie przez konsula lub przez panią. A ponieważ pan Le Chars jest obecnie zajęty...

Wzięła podaną kartę i przeczytała nazwisko, zapomniane od lat wielu, które jednak odrazu przywołało jej na pamięć szereg tragicznych wspomnień...

— Lecz mąż nie jest teraz wolny...

— Dlatego też ten pan prosi bardzo, by go pani przyjęła.

— Dobrze, niech go pan wprowadzi. A jaki ma interes?

— Bardzo jest skryty. Mówi że to sprawa czysto osobista.

— A więc bardzo proszę.

W dwie minuty potem pan Friand wprowadził niskiego, w starszym już wieku jegomościa, tak chudego i cienkiego, iż zdawało się, że najmniejszy wiatr może go przewrócić.

Skłonił się i rzekł cichym, astmatycznym głosem:

— Proszę wybaczyć mi tę wizytę, lecz nie jestem dla pani zupełnie nieznanym: — Mitre.

Patrzyła na niego z litością. Jakże on się zmienił od tego czasu, gdy się widzieli na avenue Malakoff przy zwracaniu sobie zamienionych niemowląt.

Sądząc, że zapomniała o nim, dodał:

— Jestem ojcem małej Made, którą...

— Ależ ja pana poznaję doskonale, proszę niech pan usiądzie.

I wiedziona delikatnością, słysząc jego kaszel, podniosła się, by zamknąć otwarte okno:

Gdy siadł, wydał się jeszcze mizerniejszy, słabszy, z pochylonemi plecami, z ostro zakończonemi kolanami. Postarzał się o dwadzieścia lat.

— Byłem godny pożałowania wówczas, gdy pani przyniosła mi mą córkę, lecz gdyby mi powiedziano, że będę jeszcze nieszczęśliwszy, nie uwierzyłbym w to.

— Czy mogę co dla pana uczynić? — zapytała z dobrocią. Powiedziano mi, że to sprawa osobista.

— O tak: mąż pani wykonywa tutaj prawa francuskie nad obywatelami francuskimi: nie chciałem brać adwokata, sądząc, że starczy sama słuszność mej sprawy...

— Lecz może lepiej będzie, gdy pan wprost mężowi przedstawi ten interes?

— Niech mi pani nie odmawia tego posłuchania. Tak potrzebuję pani protekcyi, jak i męża. Jestem tutaj sam, chory i nieszczęśliwy.

Istotnie nie trzeba było długo przypatrywać się panu Mitre, by przekonać się, że ten przedwczesny starzec, o rzadkich siwych włosach, zrujnowany jest fizycznie i duchowo.

— Pani bez wątpienia nie zna mojego życia; proszę mi pozwolić, bym je w krótkich słowach przedstawił: Po długich latach służby w ministeryum oświaty przed trzema laty poszedłem na emeryturę jako szef biura. Gdy pani wówczas rano — już pewnie dziesięć lat upłynęło od tego czasu — przyniosła moją Made, byłem żonaty z kobietą, którą... którą kochałem szalenie. Była sierotą i wziąłem ją bez niczego, bez majątku; wspominam o tem nie dlatego, by jej to wymawiać, lecz ze względu na niebezpieczne pokusy paryskie, toalety, zbytek... Ona była bardzo młoda, a ja już w poważnym wieku i musiałem ją nieraz strofować... Ona nie mogła się oprzeć tym pokusom i wtedy rano ja znosiłem inną jeszcze boleść... przekonałem się wówczas, że mnie zdradza z jakimś bogatym człowiekiem, który szukał tylko miłosnych awanturek.

Joanna uczyniła ruch pełen współczucia.

— Tak, pani może litować się nademną. W jakim ja znajdowałem się położeniu: córka zgubiona, żona cudzą kochanką i w wieczór ten truła się laudanum, gdym wykazał jej haniebne postępowanie. Lecz kochałem ją i gdy pani przyszła razem z Made, wszystko przebaczyłem jej, spodziewając się, iż podobne chwile już się w mem życiu nie powtórzą. Przysięgła mi, że już nigdy nie powróci do swej przyjaciółki, która pod pozorem prowadzenia magazynu mód zajmowała się tajemnem stręczycielstwem. Po kilku jednak miesiącach dowiedziałem się, że znowu u niej bywa i miewa tam schadzki z jakimś oficerem. Najstraszniejsze dla mnie było to, iż nie pozostawiając dla mnie ani słowa, uciekła z tym człowiekiem.

Na szczęście miałem matkę, która zajęła się mą córeczką. Made rosła i stawała się coraz milszą. To było całą moją pociechą. Rozpocząłem poszukiwania i dowiedziałem się, że żona moja mieszka w Algierze, żyjąc z jakimś bogatym kapitanem spahisów. Co miałem robić wówczas? Żądać rozwodu? Lecz z tego wynikłby skandal, któryby zaszkodził nie tylko mnie, lecz i córce. Pytałem się siebie, czy jest ona chociaż szczęśliwą? Lecz i na to nie mogłem dać sobie potwierdzającej odpowiedzi. Niemożliwe, by była szczęśliwa w dali od swej córki, mówiłem sobie, a nie śmiałem dodać, w dali i ode mnie, gdyż nigdy nie okazywała mi prawdziwego uczucia. Nie myślałem już o niczem, cały oddałem się swemu zajęciu, choć przeczucie jakieś szeptało mi, że Ninetka... Germaine powróci jeszcze do mnie.

I stało się to... Pewnego wieczoru zadzwoniła do mych drzwi. Widzę ją jeszcze, jak weszła. Była strasznie blada, z oczami podkrążonemi, ze spieczonemi wargami, z twarzą nabrzmiałą. Odezwała się do mnie:

— Wiem, że nie zasługuję na żadną litość. Nie chcę składać nowych przysiąg, których nie dotrzymuję, lecz jestem już bez sił. Nie mam nadziei, że mnie przyjmiesz, powiedz jedno słowo, a wyjdę.

Chwiała się na nogach. Odziana była w zniszczone, podarte suknie i przedstawiała taki obraz nędzy, iż żal serce mi ścisnął. Wprowadziłem ją do mieszkania i posadziłem w fotelu; widząc, że głowa jej zwisa bezwładnie, przyniosłem poduszki, by wygodniej się oparła, nogi okryłem pledem. Naraz przyszło mi na myśl, że może jest głodna. Pobiegłem do jadalnego pokoju i wszystko co było do jedzenia ustawiłem na małym stoliku przed nią:

— Jedz i pij — rzekłem.

Popatrzyła na mnie oczami jak obłąkanymi:

— Już całą dobę nie jadłam, a trzy noce oka nie zmrużyłam.

Powtórzyłem:

— Jedz i nic nie mów.

Gdy posiliła się trochę, łzy zaczęły jej płynąć z oczu.

— Kochanek porzucił mnie bez żadnych środków... Nie śmiałam wrócić do ciebie. Poszłam do Amelii, lecz tam już nie mieszka. Chciałam rzucić się do Sekwany, lecz... i załkała żałośnie; nie mogła dokończyć zaczętego zdania.

Gdym odstawiał od niej stolik, dotknąłem się mimowoli jej ręki i spostrzegłem, że jest lodowata; spojrzałem na nogi i przekonałem się, że są one w mokrych, dziurawych trzewikach. Ukląkłem, zdjąłem je pospiesznie i nałożyłem jej me ciepłe pantofle.



— Czy mogę co dla pana uczynić? — zapytała z dobrocią...

— Może chcesz spać, połóż się do mego łóżka, ja pozostanę w tym pokoju.

Nie odzywała się, rzucała tylko do koła trwożne wejrzenia. Ujrzała fotografię Made i wyciągnęła po nią rękę. Podałem jej. Patrzyła długo, potem oddała mi, nie mówiąc ani jednego słowa. Rzekłem:

— Made jest u mojej matki, widuję ją codziennie.

Nie odpowiedziała mi nic. Wtedy przedstawiło mi się jasno całe me położenie. Co teraz począć? Co powie moja matka, widząc ją znowu pod jednym dachem ze mną? Nastąpi zerwanie z nią, gdyż żony mej nigdy nie lubiła. Główną jednak myślą moją było: ona jest tutaj nieszczęśliwa, wyczerpana. Kto wie, czy się poprawi, a czas wszystkie rany może zagoić. Kochałem ją.

Pan Mitre przerwał opowiadanie, pragnąc chustką stłumić kaszel. Gdy odjął ją od ust, Joanna spostrzegła, iż była czerwona od krwi.

— To nic, przeziębiłem się tylko w drodze.

I gdym tak łudził się nadziejami, naraz ujrzałem, że twarz jej skórczyła się z bolu, a z piersi dobył się jęk. Zawołałem:

— Ty cierpisz, co ci jest Ninetko?

Ręce oparła na biodrach. Jeszcze nie zrozumiałem... A gdym pojął?... O, pani, nikomu nie życzę tych mąk, jakie wtedy przeszedłem. Przyszła rodzić u mnie, nie moje dziecko! Co się ze mną działo, gdy zaczęła wić się w bolach!...

— Skrócę to opowiadanie. W nocy powiła syna, który zaraz umarł. Było to szczęście dla niej i dla mnie. Żona pozostała u mnie. Zwolna przychodziła do sił. Codziennie jeździłem do matki, u której pozostawała Made. Iluż wymówek nasłuchałem się tam, które zawsze kończyły się zdaniem, jakie mi matka ciągle powtarzała: kto już się napił z tego kielicha, pić będzie ciągle!

Słusznie prorokowała. Z początku jednak Germaine była wzorową. Pewnego dnia przywiozłem Made. Gdy ujrzała ją, zaczęła pieścić i całować ją, bawić się z nią, jak z lalką, po godzinie jednak odsunęła się od niej pod pozorem migreny. Miłość macierzyńska zdawało się, iż w niej zamarła. Córka znowu powróciła do swej babki. Gdy po pewnym czasie zaproponowałem jej, by Made wziąć na stałe do siebie, odpowiedziała mi niechętnie: po co, jej u twojej matki jest dobrze.

Na drugi dzień, gdym powrócił z biura, spostrzegłem, że żona ma nowy elegancki kapelusz, następnych dni widziałem u niej wykwintne suknie. A więc mimo swego przyrzeczenia, ona powróciła do dawnego życia, znowu bywa u tej Amelii. Zabroniłem jej stanowczo tego. Popatrzyła się jednak wzgardliwie na mnie i odeszła.

— Kto nie jest dość bogaty, by utrzymać odpowiednio żonę, nie powinien się żenić.

— Nędzną jesteś, jeżeli tak mówisz — zawołałem.

— Kpię sobie z ciebie — usłyszałem w odpowiedzi — jestem młoda, chcę miłości i życia.

Niech pani lituje się nad mą słabością, lecz ja zniosłem to i nic nie rzekłem. Następnego dnia otrzymałem od swego dyrektora lożę w operze; przyszedłem do domu zadowolony, że mogę jej sprawić przyjemność. Służąca, otwierając mi drzwi, popatrzyła na mnie z uśmiechem i rzekła:

— Pani już popłynęła.

— Co, co takiego?

— Mówię, że pani popłynęła i poleciła mi powiedzieć panu, że już ma dosyć domowych zapachów i że nigdy już nogą tutaj nie stąpi. Przepraszam najmocniej, ale pani kazała mi koniecznie powtórzyć swe własne słowa.

Tym razem pojąłem, że już wszystko bezpowrotnie minęło. Na żądanie swej matki podałem się o separacyę i otrzymałem ją zupełną, a także przyznano mi prawo wychowywania córki. Żona może ją tylko mieć u siebie przez pół miesiąca co roku. Lecz ja panią męczę już tem opowiadaniem?...

— Ależ nie, proszę bardzo — odparła Joanna, stwierdzając jak wiele podobieństwa mają wypadki życia pana Mitre z wczorajszymi zwierzeniami pani de Pre-Hautre.

— Przystępuję obecnie do tego, co mnie tu sprowadziło — mówił dalej pan Mitre, wyczerpany już zupełnie. — Dwa lata temu, gdy nadszedł czas powierzenia córki na pietnaście dni mej... tej kobiecie, matka moja zaprowadziła Made pod wskazany adres. Upłynęły jednak dwa tygodnie, miesiące i lata, a ja córki od chwili tej już nie widziałem. Szukałem wszędzie, opłacałem prywatnych ajentów, wszystko było daremne, aż wreszcie dowiedziałem się, że tę niegodną widziano niedawno w Medyolanie, a ostatnio w Wenecyi. Ośm dni już chodzę po wszystkich hotelach i dzisiaj odnalazłem ją. Obecnie chcę prosić konsula, by nakazał zwrócić mi dziecko, do czego mam wszelkie prawo.

— Zdaje mi się, że pan zaraz zobaczy się z mężem mym, gdyż interesant, jakiego ma teraz u siebie, wkrótce wyjdzie.

Nagle rozwarły się drzwi i do salonu wbiegł Jacek, a za nim Gizela, rozpromienieni i weseli oboje.

— Mamusiu — zawołał Jacek — prawda, że my możemy...

Na znak swej matki zatrzymał się i zwracając się grzecznie do gościa, rzekł:

— Ach, przepraszam... dzień dobry.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Echo tragedyi.

W bieżącym tygodniu rozpoczął się w Wenecyi sensacyjny proces kryminalny, który światu całemu przypomniał okropną zbrodnię i jedną z głośnych tragedyi. Jest to proces przeciw hr. Tarnowskiej



Echo tragedyi: Marya Tarnowska.

i dwu jej kochankom, Naumowowi i Prilukowowi, oskarżonym o zamordowanie hr. Komarowskiego.

Sprawa ta wywołała swego czasu ogromne wrażenie, zwłaszcza ze względu na osobę bohaterki tragedyi, hr. Tarnowskiej. Młoda ta, niespełna 30-letnia kobieta, pochodząca z arystokratycznej irlandzkiej rodziny hrabiów O'Rourke, urodzona i wychowana w Rosyi, w okolicy Kijowa, padła wcześnie, bo już w 16 roku życia, ofiarą pewnego uwodziciela, a gdy ten ją porzucił, zawarła znajomość z hr. Tarnowskim i wyszła zań w Kijowie zamąż. Wrodzona zmysłowość i nienasycona nigdy namiętność, pchały ją do coraz nowych a coraz skandaliczniejszych wybryków erotycznych. Zmieniała kochanków jak rękawiczki, nie robiąc z tego żadnej tajemnicy. Nadzwyczajnie piękna, a zwłaszcza ujmująca, o dużych, czarujących oczach, zaprzęgała do orszaku swych wielbicieli coraz to nowe ofiary. Między tymi ofiarami znalazł się też adwokat kijowski, Prilukow, który poznał Tarnowską bliżej, gdyż był jej doradcą prawnym w procesie rozwodowym z jej mężem.

Opanowany szałem namiętnej miłości, rzucił Prilukow rodzinę swą, rzucił żonę i dzieci a zdefraudowawszy znaczniejszą sumę jednego ze swych klientów, uciekł z Tarnowską zagranicę.

W tym samym czasie zapoznał się z Tarnowską i zakochał w niej młody człowiek, Naumow, syn bardzo zamożnych rodziców oraz hr. Komarowski, mężczyzna starszy ale również ogromnie majętny, który nawet oświadczył Tarnowskiej gotowość poślubienia jej. Myśl ta nie zupełnie podobała się przewrotnej kobiecie; pragnęła co prawda stać się panią olbrzymiej fortuny tego swego kochanka, ale życie z nim nie uśmiechało się jej. Zwierzyła się ze swymi myślami Prilukowowi i ten postanowił zamysły kochanki w czyn wprowadzić. Chodziło atoli o to, by zakochany hr. Komarowski zapisał kochance cały swój majątek oraz by ubezpieczył się na jej rzecz na jakąś wysoką kwotę. Tarnowska wymogła to na hr. Komarowskim. W czasie owym bawiła Tarnowska ze swymi wielbicielami we Włoszech. Tam też zjawił się młody Naumow. Prilukow zapoznał się z nim a kiedy się przekonał, jaką namiętnością pała ten młodzieniec ku Tarnowskiej, postanowił go użyć jako narzędzia celem usunięcia Komarowskiego. Przedstawił mu tedy, że Komarowski jest niebezpiecznym i jedynym jego rywalem. Powodowany zazdrością puścił się więc Naumow w pogoń za Komarowskim, a dopadłszy go w Wenecyi, zamordował w jego mieszkaniu strzałami z rewolweru.

Zdawało się, iż Prilukow cel swój osiągnął. Dwaj rywale nawzajem się usunęli. Bo Komarowski zginął a Naumow, jego morderca, poszedł do więzienia. Śledztwo atoli wykazało winę Prilukowa i Tarnowskiej, aresztowano ich więc także. Od półtora roku przebywali wszyscy troje w więzieniu, a obecnie tragiczna ta historya znajdzie epilog przed sądem.



Echo tragedyi: Zamordowany hr. Komarowski.

Rewolucya w Persyi.

Wśród żywiołów, które podczas obecnej zawieruchy rewolucyjnej w Persyi odgrywają najważniejszą rolę, wysunęli się na pierwszy plan Bachty-



Rewolucya w Persyi: Bachtyarowie szturmujący miasto Ispahan.

arowie. Jestto plemię na poły osiadłe, na poły koczujące, pochodzenia kurdyjskiego, liczące około 300.000 głów, a zamieszkujące w południowo-zachodniej Persyi, po części w prowincyi Luristanu, po części Chusistanu. Wyznają oni mahometanizm, ale



Echo tragedyi: Naumow.

są sunnitami, podczas gdy Persowie są szyitami, odznaczają się walecznością w przeciwieństwie do tchórzliwych Persów, są gościnni, przedsiębiorczy, ale kłótliwi i skłonni do rozbojów. Szach był tylko ich nominalnym władzcą.

Jak tylko rozpoczęło się w Persyi wrzenie rewolucyjne po zawieszeniu konstytucyi przez obecnego szacha, Mohameda Ali Mirzę, Bachtyarowie odrazu stanęli po stronie obrońców konstytucyi. W tym wypadku było dla nich miarodajnem zapewne nietyle umiłowanie dla tej nowej formy rządów, ile nienawiść względem rządu perskiego, którego przedstawiciele nieraz dobrze dali się im we znaki swemi wymuszeniami i łapownictwem.

Rycina nasza przedstawia chwilę ataku Bachtyarów pod dowództwem jednego ze swych naczelników, nazwiskiem Samsam-Sultaneh, na miasto Ispahan, które w końcu ubiegłego miesiąca zdobyli po zaciętej walce z wojskami rządowymi.

Amazonki czarnogórskie.

U ludów, na niskim stopniu kultury stojących, kobieta uważana jest wprawdzie za istotę ludzką, ale o wiele niższą od mężczyzny. Stąd też na barki kobiet spada tam wszelka ciężka, pospolita praca, podczas gdy mężczyźni oddają się innym — w ich pojęciu — szlachetnym zajęciom.

W Czarnogórze np., której mieszkańcy na punkcie swego stopnia cywilizacyi daleko pozostali w tyle poza innymi ludami słowiańskimi, los kobiet jest wcale nie do pozazdroszczenia. Od chwili przyjścia na świat dziewczyny, rodzina patrzy się na nią krzywo. Nie można bardziej Czarnogórca obrazić, jak gratulując mu z powodu narodzin córki. Już od najwcześniejszej młodości dziewczę musi pomagać matce w gospodarstwie domowem, o które Czarnogórzec, zajęty trochę pasterstwem, trochę rozbojem, trochę przemytnictwem, trochę ćwiczeniem się w użyciu bronią, a głównie próżniactwem, wcale się nie troszczy. Później bywa wydaną zamąż bez pytania o jej zdanie, a następnie zostaje towarzyszką mężczyzny, któremu rodzi dzieci, utrzymuje dom i jest jego nie żoną, ale raczej niewolnicą.

Mimo tego jednak poniżenia, kobiety czarnogórskie odznaczają się wrodzoną inteligencyą i wielkiem męstwem, w którem nie ustępują mężczyznom. Za dawniejszych czasów, gdy Czarnogóra staczała nieustanne walki z Turkami i sąsiednimi Albańczy-



Echo tragedyi: Prilukow.

kami, kobiety tamtejsze znakomicie sekundowały swym ojcom, braciom i synom. Z powodu ubóstwa kraju na punkcie środków przewozowych, one niosły za nimi amunicyę, żywność i zbierały rannych z pola walki.

I dziś jeszcze żyje tradycya tego czynnego udziału w rzemiośle wojennem kobiet czarnogórskich, które, gdy tego zaszła potrzeba, władały doskonale strzelbą lub handżarem. Rycina nasza przedstawia interesujący moment z niedawnych zbrojeń Czarnogóry. Widzimy na niej kobiety czarnogórskie, dzielnie dopomagające mężczyznom przy wyciąganiu dział na wzgórza, które dominują nad jedynym portem czarnogórskim w Antivari, oraz nad drogą do Spizzy.



Amazonki czarnogórskie: Kobiety czarnogórskie pomagają przy wyciąganiu dział na góry koło Antivari.

Wyścigi na morzu.

Sport automobilowy zyskuje sobie coraz to większe prawo obywatelstwa, aczkolwiek na razie uprawiać go mogą tylko ludzie prawdziwie zamożni, jeśli nie bogaci. Dziś, gdy na samochodach przejechano wzdłuż i wszerz Azyę i Afrykę, nie pozostało już prawie zakątka kuli ziemskiej, gdzieby nie pojawił się ten wehikuł przyszłości.

Skoro budowano samochody, którymi można na lądzie przenosić się dowolnie szybko z miejsca na miejsce, rzecz naturalna, że ludzie pomyśleli również o zbudowaniu łodzi na tej samej zasadzie, aby módz z większą, niż dotychczas szybkością i wygodą poruszać się na wodzie.

Z powodu jednak trudności technicznych budowa łodzi motorowych nie poszła tak gładko, jak budowa samochodów lądowych. Trzeba było wielu prób, zanim skonstruowano takie łodzie, które choć w przybliżeniu odpowiadałyby samochodom lub motocyklom.

Dziś już poczyniono znaczne na tem polu postępy, tak że łodzi motorowych używać można nietylko na rzekach i jeziorach ale nawet na morzu, oczywiście o ile jest ono spokojne. W tych dniach właśnie odbywa się w Monaco regata międzynarodowa łodzi motorowych najrozmaitszych systemów, a rycina nasza przedstawia część przystani w Monaco ze zgromadzonemi w niej przed wyścigiem łodziami. Jak dotąd, niektóre z nich osiągnęły szybkość 50 kilometrów w 70 minutach, co można uważać za bardzo dobry rekord.

Następca lorda Kitchenera.

Anglicy odczuwają doskonale, czem są dla nich Indye wschodnie, skąd czerpią ogromne dochody dla państwa, skąd handel angielski ciągnie olbrzymie zyski i skąd wreszcie, wywierają wpływ decydujący na losy całej Azyi. Rozumieją też oni mogące zagrażać ich panowaniu w Indyach niebezpieczeństwa, tak ze strony państwa, które do niedawna miało głos przeważny w sprawach azyatyckich, tj. Rosyi, jak i ze strony tuziemców, których poczucie siły własnej i nienawiść ku najezdzcom, niezmiernie wzrosły ostatnimi czasy. Najlepszym tego dowo-

dem liczne zamachy dynamitowe, jakie wykonano w ubiegłych kilku miesiącach oraz odkrycie przez władze angielskie wątków sprzysiężenia politycznego, które rozszerzyło się po całych Indyach przedgangesowych.



Następca lorda Kitchenera: Generał O'Moore Creagh.

Nic też dziwnego, że Anglicy od pół wieku pilnie baczą na wszystko, co się dzieje w Indyach, szczególniej zaś starają się swe siły zbrojne utrzymać tam na takim stopniu, aby mogły im zapewnić panowanie w Indyach i obronić je przeciw możliwej inwazyi ze strony jakiegokolwiek mocarstwa.

W ostatnich sześciu latach naczelnym wodzem sił W. Brytanii w Indyach wschodnich był lord Horatio Kitchener, najpopularniejszy z generałów angielskich, zwycięsca Mahdi'ego i pogromca Burów. W nim armia angielska upatrywała męża czynu, który jedynie powołany był do tego, aby je poprowadzić do zwycięstwa.

Tymczasem upłynęło lat sześć, po których zmienia się każdorazowy główny dowódca wojsk angielskich w Indyach wschodnich i lord Kitchener ustąpił. Jego miejsce zajął obecnie generał O'Moore Creagh, który ostatnio spełniał funkcye sekretarza wojskowego departamentu w ministerstwie dla Indyi, a którego portret podajemy w bieżącym numerze.

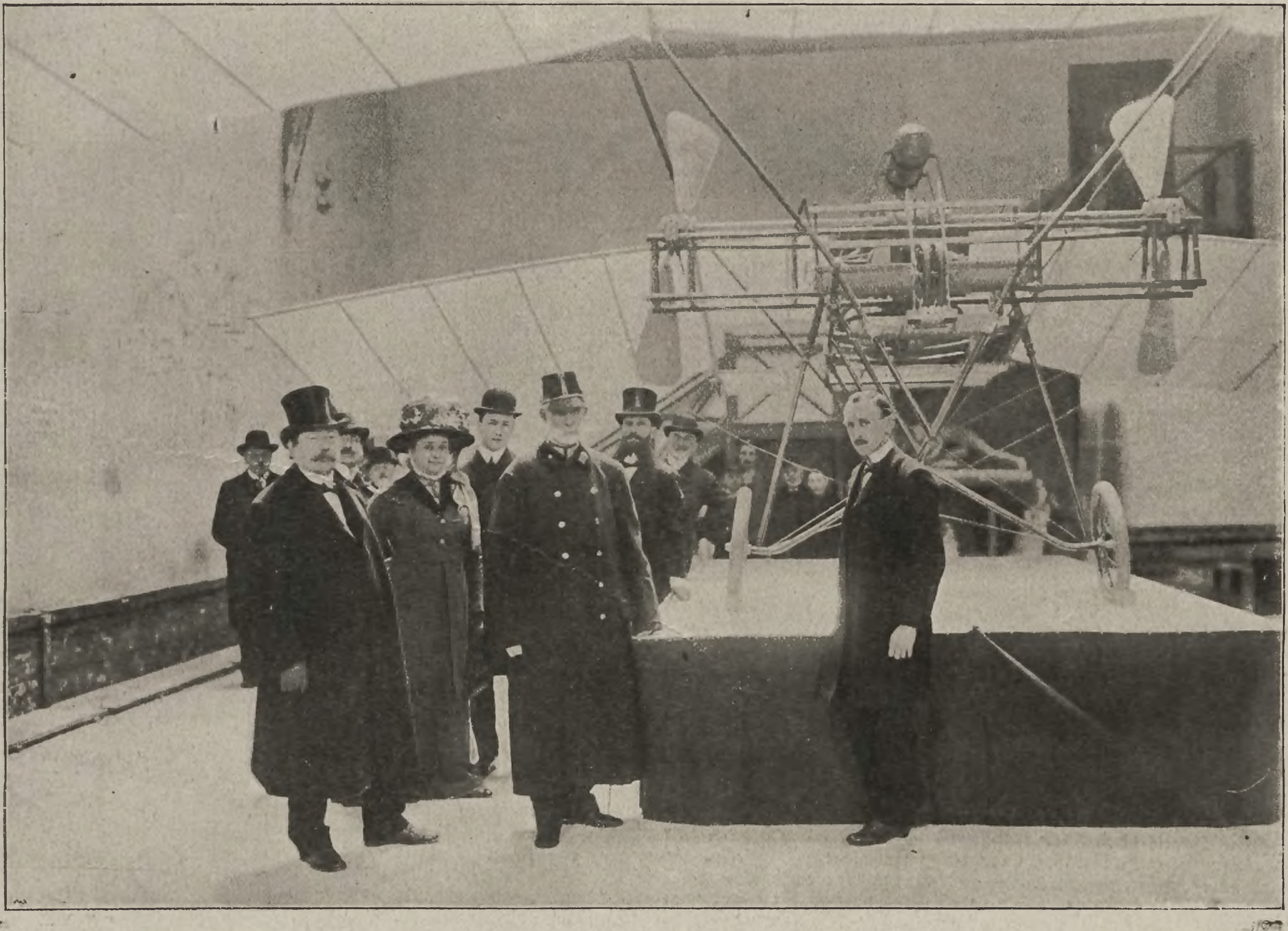
Nominacya ta wywołała wielkie niezadowolenie w angielskiej armii w Indyach, która przypisuje ją ubocznym protekcyom a zarazem obawia się, że obecnie, po energicznych, czysto wojskowych rządach Kitchenera, nastąpią rządy oficera-biurokraty, który nie odczuwa prawdziwych potrzeb armii, stojącej na straży żywotnych interesów Anglii w samem sercu Azyi.



Wyścigi na morzu: Łodzie motorowe przed regatą w zatoce Monaco

Austryacki aeroplan.

Usiłowania ludzkości na polu opanowania i podboju powietrza, znalazły i w Austryi przedstawi-



Austryacki aeroplan: Arcyksiąże Rainer na wystawie aeroplanu inżyniera Hippsicha.

cieli, z pomiędzy których na czoło wybił się Wiedeńczyk inżynier Hippsich, wynalazca aeroplanu nowej konstrukcyi.

Pierwotny swój wynalazek, udoskonalony następnie przy pomocy towarzysza pracy Lauffera, powierzył do wykonania mechanikowi Köhlerowi i dziś machina do latania jest zupełnie gotowa. W najbliższym czasie przedsięweźmie wynalazca próby ze swym aeroplanem, obecnie zaś wystawił go na widok publiczny w dawnem atelier Makartowskiem.

Przed kilku dniami odwiedził tę wystawę arcyksiążę Rainer, który od dłuższego już czasu interesuje się żywo kwestyą żeglugi napowietrznej. Dostojnego gościa objaśniał wynalazca, okazując wszystkie szczegóły swego projektu.

Wedle opinii znawców, aeroplan inż. Hippsicha jest pomyślany i wykonany bardzo dowcipnie i jest wszelka nadzieja, iż próby, jakie się już w najbliższym czasie odbędą, nadzieje te potwierdzą.

Rycina nasza przedstawia arcyksięcia Rainera w towarzystwie wynalazcy i jego pomocników, obok machiny inż. Hippsicha.

Skandaliczna bójka w parlamencie włoskim.

Największy wróg parlamentaryzmu nie mógłby mu tyle zaszkodzić, takiej krzywdy wyrządzić, jakiej doznaje od tych, co właśnie powinni nieść wysoko jego sztandar. Wprost wstrętne, karczemne bitki, do których przychodzi w niektórych parlamentach europejskich, obniżają powagę przedstawicielstwa ludowego, w które z innej strony biją taranem rozmaite współczesne prądy jak np. syndykalizm francuski.

I znów przed kilku dniami parlament włoski był widownią podobnych scen oburzających, które podają go w pogardę w oczach współziomków i całego cywilizowanego świata.

Walną bitwę, którą stoczono na Monte Citorio dnia 3 b. m. poprzedziły mniejsze utarczki o kilka dni wcześniej. Już one dawały przedsmak tego, do czego miało przyjść później. Na owem posiedzeniu poseł Podrecca, redaktor antyklerykalnego pisma humorystycznego *Il Asino* (Osioł) wszczął awanturę. Ostro odpowiedział mu jeden z najlepszych mowców klerykalnych Cameroni. W kłótnię wmięszał się Mirabelli, republikanin. Zaczęły padać takie epitety, jak: „Idyoci! błazny! popy!“ pijawki duchowne, lokaje papiescy!“ i t. p. Cameroni'emu udaje się przekrzyczeć wrzawę. Rzuca on pod adresem lewicy obelgę: „Nie dyskutuję z osłami“, w czem mieściła się aluzya do pisma *Asino*. Na to odcina się Podrecca: „Chcesz pan przez to powiedzieć, że obcujesz tylko z mułem!“, co znów jest aluzyą do klerykalnego pisma humorystycznego *Il Mulo* (Muł).

Tym razem jednak skończyło się tylko na szermierce języków. Zato w dwa dni później przyszło do formalnej bitki na pięści. Początek dali posłowie Morgari ze skrajnej lewicy i Leali z partyi ministeryalnej. Odznaczył się w niej De Felice, socyalista, na którego rzucili się zwartą ławą zwolennicy gabinetu. Wtedy pospieszyli mu z pomocą inni socyaliści, a wśród nich poczynał sobie najmężniej poseł Chiesa.

Razy, pięści padają na wszystkie strony, piekielna wrzawa zagłusza głos prezydenta Izby, Marcory i jego dzwonka. Z loży dziennikarskiej napróżno obecni wzywają posłów do zaprzestania walki. Śledzą jej przebieg z wielkiem zainteresowaniem zebrane na galeryi panie rzymskie, w których odzywa się krew dawnych Rzymianek, przepadających za walkami gladyatorów. Na boku, tam gdzie cokolwiek więcej miejsca, stoją naprzeciw siebie ogromnego wzrostu Podrecca i malutki klerykał Longinotti, obsypując się obelgami na wzór bohaterów z Iliady. Longinotti woła: „Milcz ty bestyo, ośle!“ „Chodź tu bliżej — ryczy Podrecca — a połamię ci żebra, ty niedoszły zakrystyanie!“ i rzuca się, aby wykonać swą groźbę, wstrzymują go jednak przyjaciele. W innem miejscu stacza walkę słowem i na pięści Mirabelli republikanin z Michelim, klerykałem.

Widząc, że nic nie poradzi, prezydent Izby nakrywa głowę i zawiesza posiedzenie. Bitka przecież trwa dalej aż do zupełnego wyczerpania sił i zachrypnięcia walczących.

Po jakimś kwadransie, prezydent wraca i ponownie otwiera posiedzenie, przyczem odzywa się w ten sposób: „Daliśmy narodowi gorszący przykład, a jesteśmy tu na to, aby świecić wzorem cnót obywatelskich“.

W Izbie rozlegają się śmiechy ironiczne, sami bowiem posłowie mają najlepsze wyobrażenie o tem, jak się skompromitowali.

Obok podajemy portrety najwybitniejszych uczestników owych scen skandalicznych, na których powtórzenie zapewne nie długo trzeba będzie czekać, zważywszy, że obecny parlament włoski składa się z bardzo sobie wrogich żywiołów.

Posłowie do parlamentu włoskiego, którzy brali udział w bójce:



Mirabelli — Longinotti — Micheli — Chiesa — Cameroni — Leali



Morgari — Podrecca — Prezydent Marcora — De Felice

Siostry syamskie.

Wiedeńczycy mają obecnie sposobność podziwiać bardzo rzadki wybryk natury. Oto w jednem z tamtejszych panoptików popisują się wobec licznie gromadzącej się publiczności dwie siostry bliźniacze: Róża i Józefa Blażkówne, które przyszły na świat nierozdzielnie ze sobą na zawsze zrośnięte, a to kością miednicową. Młode te, po 25 lat liczące dziewczęta, stanowią dwie osoby, a właściwie są jedną tylko, bo każdy ruch, każdy krok jednej jest zależny od drugiej. Żadna z nich nie może bez drugiej się ruszyć, nie może mieć przed drugą żadnych tajemnic a i rozdzielenie ich kiedykolwiek w przyszłości jest wykluczone, bo miednica ich jest jedna i wspólna, a w niej kilka ważnych organów, do życia koniecznych.

Wykształcenie bliźniaczych sióstr jest równomierne, a także pod względem fizycznym jest rozwój ich podobny. Z losu swego są zupełnie zadowolone, co wynika nietylko z własnych ich słów, ale i z wesołego, swobodnego usposobienia obu.

Szczególnie lubują się w muzyce a jako wiolinistki są wcale dobrymi siłami. Ich duety, jakimi raczą publiczność, gromadzącą się celem oglądania nadzwyczajnego dziwu natury, podobają się ogólnie.

Róża i Józefa Blażkówne są Czeszkami i pochodzą z Skrychowa.



W oczekiwaniu następcy tronu: Królowa holenderska Wilhelmina.

Dr. A. WYLM.

KORALOWY RÓŻANIEC

3 **Romans psychiczny.** Ciąg dalszy.

— Czy możliwe jest, aby człowiek mógł się znajdować jednocześnie w dwóch miejscach?

— Wątpię; muszę jednak przyznać, że żywoty świętych obfite są w historye dwoistości. Pisarze mistyczni nazywają to darem wszechobecności. Przykłady tego może pan znaleść w życiorysie świętego Alfonsa Ligoriego i świętego Franciszka Ksawerego. Mogą to jednak być tylko legendy.

— Czy dowody tego znajdują się tylko w życiorysach świętych?

— Są i inne podobne wypadki; lecz nie chcę informować pana o specyalnej literaturze tego przedmiotu; boję się wpłynąć mimowoli na odruchowy rozwój pańskich przygód. Gdy one się skończą, powiem panu o tem to, co sam wiem. Radę zaś mogę dać tylko jedną: nie pomagać wypadkom. Objawy będą miały tem większe znaczenie, o ile pańska wyobraźnia nie będzie podlegała postronnym pobudkom.

— Rozumiem zupełnie pańską myśl, lecz jestem bardzo zaintrygowany tem, co mi się zdarzyło. W ostatni czwartek położyłem się spać dość wcześnie. Poprzedniej nocy długo czuwałem, to też teraz sen mnie zmorzył przy obiedzie. Śniło mi się, że jestem znowu w pokoju młodej panny. Pominę wszystkie szczegóły już znane, wspomnę tylko, iż ta postać przy mnie zjawiła się szybko. Gdy ją ujrzałem wyraźnie, powstałem i siadłem w drugim końcu pokoju. Postać ta otworzyła oczy i spostrzegła mnie; zauważyłem, że się już tak nie lęka; rzekłem zaraz do niej: „Proszę bardzo, niech pani się nie obawia, gdyż ja nie chcę uczynić jej nic złego“. Odpowiedziała mi wtedy.

— Co panu rzekła? — zapytałem pobudzony ciekawością.

— Powiedziała mi głosem wyraźnym i żywym: „Co pan tu robi?“ Była trochę przestraszona i miała minę, jak prawdziwa panna, gdy ujrzy w swym pokoju niespodziewanie obcego mężczyznę. Pośpieszyłem ją uspokoić, a przytem chciałem wzbudzić w niej zainteresowanie. Słyszałem, że to najlepszy środek, by kobieta coś wysłuchała. Pozostawałem na swem krześle i odezwałem się do tej postaci: „Mam pani opowiedzieć niezwykłą historyę, jakiej pani jeszcze nigdy nie słyszała. W chwili obecnej śpię u siebie w Bordeaux, przy bulwarze Cauderan, pod numerem 532, jednocześnie jednak jestem i tutaj. Nic z tego nie rozumiem“. By mógł doktór zdać sobie sprawę z mego stanu umysłu, muszę przypomnieć to, co już mówiłem o uczuciu przyjaźni, miłości duchowej, jaką odczuwałem dla tej postaci. Pragnąłem bardzo być razem z nią i dlatego wzbudzałem w sobie chęć nie przestraszenia jej, lecz podobania się. Słowa moje nie wzruszyły jej, stała bowiem nieruchomo, milcząc, z miną zaniepokojoną; nagle zjawiła się we mnie nowa myśl.

— Pani jest zresztą — rzekłem do tej postaci — w stanie takim samym, jak i mój; niech pani się nie obawia; czy pani słyszy mnie? Proszę się nie lękać. Jesteśmy popychani ku sobie w śnie, a raczej pani dusza pociąga moją, podczas gdy ciało moje opuszczone przez nią spoczywa tam jak trup. Już od dość dawna przychodzę prawie co noc do tego pokoju. Pani mnie spostrzegła dopiero w czasie mych ostatnich czterech wizyt, gdyż dopiero wtedy zdołała pani poddać się stanowi, w jakim ja jestem. Jest to rzecz niezwykła i nie każdy może się na nią zdobyć; niech pani podziękuje Bogu, że dał pani tę możność. Proszę sprawdzić to, co mówię; na łóżku leży uśpione pani ciało; jest ono blade i ma trupi wygląd, ale tylko dlatego, iż dusza pani opuściła je.

Postać ta zwróciła się do łóżka i krzyknęła.

— Chcę pani dowieść teraz — dodałem — że jesteśmy oboje, jak dusze, otoczone powłoką niemateryalną. Pozwoli pani podejść do siebie? Czy mogę wziąć panią za rękę?

Postać podniosła się i dała znak zgody. Zbliżyłem się i wziąłem ją za rękę. Doznałem zaraz wrażenia, jakby prądu elektrycznego, o którem już wspominałem. Postać odczuła to samo, gdyż natychmiast puściła mą rękę i w tej chwili schwyciła ją znowu.

— Możemy mijać swobodnie wszystkie rzeczy materyalne. Czy chce pani iść ze mną do drugiego pokoju? Naprzykład do pokoju pani matki?

— Dobrze, chcę.

— Proszę więc iść za mną, pamiętając, iż wszystko traci dla nas swą materyalność. Każdy przedmiot ma tylko tę własność, jaką pani imaginacya mu pozostawi. Możemy nie dotykać się ziemi.

Niezwłocznie cienie nasze poszyły się i przeniknęły przez ścianę; znaleźliśmy się w sąsiednim pokoju; dama, którą już widziałem, spała w jednem łóżku; na drugiem leżał mężczyzna mniej więcej sześćdziesięcioletni i mimo spóźnionej pory czytał jakieś pismo; było to *Figaro*. Spojrzałem na tego mężczyznę; wyglądał na dawnego urzędnika: wąsy i broda zgolone, długie faworyty, mina surowa. Musiał to być człowiek uparty i silnej woli; zdradzały to zaciśnięte wargi, zmarszczki na czole, szerokość podbródka.

— Mój ojciec i moja matka! — rzekła postać.

— Nie mogą ani pani słyszeć, ani widzieć. Niech pani spróbuje obudzić matkę, lub zwrócić na siebie uwagę ojca!

Postać podeszła do ojca i pochylając się nad nim, pocałowała go w czoło; mężczyzna nie zauważył tego.

— Tatku! Tatku! Czy nie widzisz mnie? Nie słyszysz? — wołała moja towarzyszka. Starała się poruszyć jego rękę, lecz przenikała przez ciało i nie mogła nic uchwycić.

— To nie do uwierzenia! — rzekła, powracając do mnie. — Czy może mi pan to wytłomaczyć?

— Nie więcej wiem od pani — odpowiedziałem.

— Przejęta jestem tem; nie mogę pozostawać tutaj niewidoczna dla swych rodziców. Boję się. Wróćmy do mego pokoju.

Wzięła mnie bezwiednie za rękę i przeszliśmy poprzez ścianę i kominek, stojący przy niej; nie uczuła gorąca ognia. W pokoju młodej panny usiedliśmy naprzeciw siebie.

— Co za niezwykła historya! — zawołała postać, spoglądając na siebie, a potem na śpiącą w łóżku. — To bez wątpienia śni mi się tylko.

Przy słowach tych doznałem jakby omdlenia; coś mnie unosiło z pokoju. Zaledwie zdążyłem powiedzieć postaci:

— Muszę już odejść. Przybędę jutro. Nie lęka się pani?

— Nie. Proszę przyjść.

— Do widzenia.

— Do jutra.

I obudziłem się u siebie. Skutek tych snów jest taki, że noce moje stały mi się daleko przyjemniejsze od dni. Spieszę się teraz zawsze do łóżka i kładę się o śmiesznie wczesnej porze. Następnej nocy znalazłem się także koło uśpionej panny, postać ta była już prawie zupełna, sformowana i po kilku minutach otworzyła oczy i przemówiła:

— A pan już jest?

— Przybyłem. Pani dopiero formowała się.

— Pan to widział?

— Tak!

— Jakto się stało?

Musiałem opowiedzieć jej szczegółowo, jak postać jej formuje się z mglistego oparu. Słuchała mnie uważnie, przerywając często wykrzyknikami. Gdy skończyłem, odezwała się:

— Chciałabym widzieć to!

— Może pani mogłaby mnie zobaczyć, jeżeli ja się formuję również w ten sposób.

— Jak to musi być ciekawe!

— Jest to nadzwyczaj ciekawe, lecz ponieważ nic jeszcze nie wiem o tym niezwykłym świecie, w którym żyjemy, może lepiej poczekać, aż się z nim bliżej poznamy, zanim spróbujemy doświadczenia.

— Czy tak pan sądzi?

— Tak.

Przez kilka chwil zachowaliśmy milczenie. Postać ta była najdokładniejszem odbiciem młodej panny, była tylko cokolwiek wyższa. Opisałem już doktorowi swą nieznajomą, wspomnę jeszcze tylko, iż ma oczy ciemne, lśniące, głębokie o jasnem spojrzeniu; wyraz jej jest zwykle spokojny i poważny; wydaje się inteligentną i dobrą; im częściej ją widuję, tem bardziej przywiązuję się do niej. Wszystkie zalety, jakie chciałbym widzieć w ukochanej kobiecie, znajduję w niej. Jestem w niej bardzo zakochany; lecz miłość moja jest niedorzeczna, ponieważ zwrócona jest tylko do złudzenia.

Milczenie przerwała ona.

— Skąd panu przyszło na myśl zjawić się u mnie?

— Sam tego nie wiem.

— Kiedy pan przyszedł po raz pierwszy?

— 28 listopada zacząłem zbliżać się do pani. Doszedłem do ogrodzenia, które dopiero po kilku dniach oczekiwania mogłem minąć. Potem zdołałem dojść do domu i wreszcie do pani pokoju. Przez kilka dni patrzyłem, jak pani śpi.

Opowiedziałem postaci dokładnie, w jakich okolicznościach ujrzałem ją po raz pierwszy, jak się lękała mnie i zwolna przyzwyczaiła się do mnie.

— Już teraz nie obawia się mnie pani? — rzekłem z uśmiechem.

— Nie! — odpowiedziała, śmiejąc się także. — Jakaż dziwna pańska historya!

— Raczej nasza!

— Tak, nasza. Jedna tylko rzecz pozostaje dla mnie niezrozumiała: dlaczego pan został pociągnięty właśnie do mego pokoju i do mojej osoby?

Domyśliłem się odrazu, że koralowy różaniec nie jest tutaj bez znaczenia. Pańskie naleganie, doktorze, bym go zawiesił na piersi podczas snu i podobieństwo uczucia, jakie on mi sprawia, do uczucia wywoływanego przez mą nieznajomą, wszystko mi wyjaśniły.

— Czy nie zgubiła pani przypadkiem różańca koralowego? — zapytałem.

— Tak.

— Kiedy?

— Dwudziestego siódmego listopada w Arcachon na przylądku Ferret lub na plaży.

— Byłem tego pewny! znalazłem go dwudziestego ósmego listopada na plaży tamtejszej. Tegoż wieczoru zaczęły się me sny...

— Co pan chce przez to powiedzieć?

— To tylko, iż dwudziestego ósmego zaczął się mój sen, który powtarza się prawie co noc, a we śnie przybywam do pani.

— We śnie? W takim razie z panem dzieje się to samo co i ze mną! To wszystko bardzo niezwykłe!

Opowiedziałem jej różne szczegóły o swych snach, które pan już zna; bardzo się tem zainteresowała i zadawała mi ciągle pytania o park, o drogę, o chatkę w lesie.

— Właśnie w tej chatce odmawiam często różaniec. Jak jednak wytłómaczyć, że znaleziony różaniec przyprowadził pana tutaj?

— Sądzę, iż istnieje między tym przedmiotem, który pani długo nosiła a panią samą jakaś tajemnicza łączność. Czy odczuwa pani co, gdy mnie bierze za rękę?

Wyciągnąłem rękę do postaci, która mi podała swoją.

— Czy doznaje pani jakiego wrażenia?

— Tak — odpowiedziała. — Zdaje mi się, że jakieś ciepło przenika do mej ręki i rozlewa się po całem ciele. Możnaby powiedzieć, że dostaje się ono przez małe dziurki, jakby od ukłucia szpilką.

— A nic więcej?

Cofnęła swoją rękę cokolwiek zmieszana.

— Tak, jest jeszcze coś — rzekła.

— Co takiego?

— Nie potrafię określić tego jasno — odpowiedziała z pewnem wahaniem. Niech mi pan powie naprzód, o czem pan myśli?

— Dobrze! Gdy podaję pani rękę, doznaję również wrażenia ciepła, lecz oprócz tego budzi się jeszcze we mnie uczucie bardzo miłe, jakiejś błogości razem z... jakby to powiedzieć?... z tkliwością. Tego samego doświadczam i przy dotykaniu się różańca koralowego. Zdaje mi się, iż jest on przeniknięty tą samą subtelną materyą. Dlatego w myślach mych postać pani kojarzy się z tym różańcem.

Zamyśliła się na chwilę.

— Więc my śnimy oboje?

— Bez wątpienia.

— I mamy ten sam sen?

— Nie wiem. Możebne jest, że ja tylko śnię, a postać pani, głos, wszystkie te niezwykłe okoliczności są tylko owocem mej wyobraźni.

Postać ta zaczęła się śmiać.

— Uważa więc mnie pan tylko za złudzenie?

— Dlaczego chce pani być czemś innem? Położyłem się teraz wieczorem. Zasnąłem jak zwykle i mam tylko dziwny sen, oto i wszystko.

— A ja? Zapewniam pana, że jestem żywa i naprawdę istnieję. Pan mnie bawi bardzo, uważając za złudzenie, za iluzyę!...

Podniosła się, podeszła do mnie i oparła tak silnie swą rękę na mem ramieniu, że aż się zgiąłem.

— Czy sądzi pan, że złudzenie może mieć taką siłę?

— Nie, o ile tylko moje wrażenie i mój ruch nie są skutkami snu.

Upór mój zniecierpliwił ją, uszczypnęła mnie w ramię, ja zaś obudziłem się z biciem serca i pewnem przygnębieniem, o jakiem już doktorowi mówiłem. Było kwadrans na czwartą. Zasnąłem znowu, lecz już nic nie śniłem. Widzi doktór teraz, jak moje sny są ciekawe, zwłaszcza, iż wydają mi się rzeczywistością. Myślę, czy dom ten i młoda panna nie istnieją przypadkiem w rzeczywistości.

Dlatego też w początku swego opowiadania zapytałem doktora o możliwość dwoistości.

Noc następna podtrzymała moje uczucia. Znalazłem się w pokoju młodej panny, gdzie postać ta siedziała już w fotelu przy kominku, jakby mnie oczekiwała. Przyjęła mnie poufale i podała rękę.

— Dzień dobry, iluzyo — rzekła. — Zaczynam myśleć, jak i pan, że śnię tylko i że pańska wizyta jest płodem mej wyobraźni.

— Nie mamy możności przekonania się, czy to jest rzeczywistość, czy złudzenie.

— Opowiedziałam mamie swe sny, lecz nazwała je bezsensownemi; mimo to była bardzo zdziwiona, gdym rzekła, że tatko czytał *Figaro* w łóżku. Mówiła o tem tatkowi, który także zdziwił się. Wspomniałam też i o tem, że wołałam go po imieniu i brałam za rękę, roześmiał się jednak tylko na to. Już nie będę śmiała wyjawić im swych snów.

— A ja swoje opowiedziałem pewnemu lekarzowi. Uważa je za bardzo ciekawe.

— Prawda, że nie skłamałem, doktorze? — zapytał mnie pan Leyre.

— Bezwarunkowo nie, powiedział pan tylko prawdę. Lecz co dalej się stało?

— Postać zapytała mnie o nazwisko doktora i ja je wymieniłem.

— Doktór Heurtault? Ten, który zajmuje się chorobami nerwowemi?

— Tak.

— Co panu powiedział? Musiał uważać się pan za chorego, kiedy poszedł radzić się go?

— Tak! Uczucie paraliżu, jakiego doznawałem przy pierwszych swych snach, bardzo mnie niepokoiło. Uspokoił mnie, choć nie przepisał żadnego lekarstwa, a dał tylko pewne wskazówki.

— Jakie?

— Przedewszystkiem, bym uważał sztachety za możliwe do przejścia i miał wolę je przejść. Zastosowałem się do tego i mogę przebywać wszelkie przeszkody. Pani również doświadczyła tego przedwczoraj.

— Tak, to prawda. Lecz kto pan jest? Już od tylu dni widuję pana w swym pokoju, a nie wiem jeszcze, kim jest mój gość.

Pan Leyre chciał pominąć wszelkie dotyczące go szczegóły, prosiłem go jednak, by je wymienił.

— Powtórzę więc panu naszą rozmowę możliwie najdokładniej. Postać zażądała, bym dał jej informacye o sobie. Uskuteczniłem to w sposób mniej więcej taki: nazywam się Antoni Leyre, mam lat dwadzieścia ośm. Ojciec mój był właścicielem ziemskim w Medoc i wkładał wszystkie swe oszczędności w uprawę roli. Naśladował w tem mego dziadka: prowadził przeważnie winnice. Nadszedł jednak czas niepowodzeń, ukazała się filoksera, pustosząc wszystko, a przytem kupcy zaczęli podrabiać nasze wino. Zyski zamieniły się w niedobory, a wreszcie i w straty. Nastąpiła nieuniknioна ruina, której ojciec nie przeżył. Umarł wkrótce, pozostawiając matkę ze mną w zupełnej biedzie. Przygnieciony ciężarem tych wspomnień, zamilkłem. Nie mogę przypominać ich sobie bez wielkiego wzruszenia. Opowiadając postaci ten bolesny okres mego życia, widząc znowu w pamięci rozpacz mego ojca, gdy go licytowali, boleść ostatnich jego chwil, nie mogłem opanować się i oczy me napełniły się łzami. Chciałem ukryć to i oparłem łokcie na kolanach, zakrywając sobie twarz rękami. Wyznać tutaj muszę doktorowi, iż nigdy jeszcze koniec życia mego ojca tak mnie nie przejął, jak w tej chwili. Nie mogłem mówić, łkanie tłumiło słowa. Pozostawałem tak przez kilka chwil.

Nagle uczułem, jak dwie ciepłe i delikatne ręce odciągają moje; podniosłem głowę i ujrzałem postać klęczącą przy mnie; wzięła moje ręce i ściskając je serdecznie, rzekła czule:

— Niech pan nie płacze. Lecz i jej oczy były zalane łzami i patrzyły na mnie z takiem współczuciem i miłością, iż uczułem, że serce me staje się za wielkie na moją pierś. Zacząłem łkać i obudziłem się zapłakany.

Następna noc zawiodła mnie znowu do tego pokoju, podszedłem odrazu do postaci, która siedziała przy kominku. Podała mi rękę z czułością, co mnie zmieszało.

— Zniknął pan wczoraj nagle w chwili najbardziej interesującej swego opowiadania. Pragnę bardzo dowiedzieć się reszty.

— Jest ona bardzo banalna—odpowiedziałem.— Skończyłem kollegium, rozumiejąc dobrze, że praca jest koniecznością dla mnie. Jeden z przyjaciół mego ojca, profesor uniwersytetu, dał mi zajęcie w swem laboratoryum: otrzymałem i kilka lekcyj, tak iż zarabiałem do pięćdziesięciu franków miesięcznie. Życie mojej matki było zabezpieczone.

W oczach postaci malowało się uczucie dobroci, sympatyi, czułości. Spojrzenie jej pocieszyło mnie a zainteresowanie, z jakiem słuchała, dodało mi odwagi do dalszego opowiadania.

— Choć z trudem, mogłem jednak żyć — mówiłem jej. Zdałem szczęśliwie egzamina i zostałem kierownikiem laboratoryum Durieux.

— Którego Durieux? Profesora chirurgii?

— Tak, jego. Cóż mogę jeszcze powiedzieć? Zrobiłem kilka prac, które znalazły uznanie i może z czasem zostanę profesorem.

— Tego pan najbardziej pragnie?



— Już teraz nie obawia się mnie pani? — zapytał z uśmiechem.

— Tak!

Po chwilowem milczeniu, którego nie śmiałem przerywać, postać zapytała o szczegóły życia obecnego, o me codzienne zajęcia.

— Życie moje jest bardzo proste— odrzekłem.— Od ósmej rano jestem w laboratoryum, gdzie doglądam prac studentów; w południe idę na śniadanie do matki, której zdrowie jest bardzo słabe, potem o drugiej jestem z powrotem w laboratoryum, z którego wychodzę dość późno. Razem z matką jemy kolacyę, rozmawiam z nią lub czytam dzienniki do dziesiątej, poczem ona kładzie się spać a ja zasiadam do pracy, którą rozciągam do północy.

— A pańskie wakacye?

— Od śmierci ojca nie miałem jeszcze żadnych.

— Pan jest wzorowym synem, Pan Bóg nagrodzi Pana.

— Jaka szkoda, że to wszystko jest tylko snem?— odrzekłem z westchnieniem. Co za szkoda, moje rozkoszne złudzenie, że nie jesteś żywem stworzeniem.

Postać zarzuciła wdzięcznie ręce w tył na szyję i przechylając się, zaczęła się śmiać.

— Oh, jak godny jesteś litości, mój cieniu! Cóż mogę uczynić, by przekonać pana o swem istnieniu?

Mówiąc to, postać podniosła się i podeszła do biurka założonego papierami. Chciałem iść za nią, lecz naraz obudziłem się. Było już widno; matka stała przy mnie.

— Jakże późno obudziłeś się dzisiaj? — rzekła mi. — Czyś nie cierpiący?

Uspokoiłem matkę i pospiesznie ubrawszy się, podążyłem do laboratoryum. Tu oczekiwała mnie ciężka praca. Profesor dał mi do zrobienia bardzo trudną analizę, którą winienem był skończyć w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin. Dwie noce spędziłem w laboratoryum, broniąc się od snu czarną kawą, wczoraj za to położyłem się spać o piątej godzinie i odrazu zasnąłem twardo. Znalazłem się znowu w zwykłym pokoju, lecz nikogo nie spotkałem, z kuchni tylko dochodziły mnie jakieś odgłosy. Powróciłem do pokoju młodej panny i usiadłem w fotelu, w którym spędziłem ostatnie noce. Zacząłem rozmyślać o swoim szczególnym śnie, lecz wynikiem tego była tylko ogólna niepewność.

— Nad czem pan rozmyślał? — zapytałem pana Leyre'a.

— Trudno to określić. Odczuwałem łagodne ciepło, które mnie przejęło błogością, jakiej zawsze doznawałem przy młodej pannie.

Zacząłem analizować się: naprzód zbadałem pamięć: wyrecytowałem kilka ustępów z Odysei, których uczyłem się w kolegium. Następnie poddałem egzaminowi swe wiadomości zawodowe: przypominałem sobie skomplikowane formuły chemiczne, co mi przychodziło bardzo łatwo. Wreszcie przystąpiłem do analizowania swego obecnego położenia i zbadania szczegółowego miejsca, w które mnie sen przenosił. Rozglądając się po pokoju, rzuciłem wzrokiem na zegar i ujrzałem założoną na nim z boku kartkę; był to arkusz listowego papieru z inicyałami Ł. F. Ze zdumieniem przeczytałem następujące słowa:

„Oczekiwałam złudzenia wczoraj i przedwczoraj. Pojechałam z wizytą do sąsiadów i wrócę koło jedynastej godziny. *Łucya*".

Przyglądałem się jeszcze tej kartce, gdy usłyszałem dochodzący mnie zdala turkot, który stopniowo stawał się coraz głośniejszy. Wkrótce dobiegły mnie odgłosy rozmowy, zamykanie i otwieranie drzwi, szelest sukien damskich i moja młoda panna weszła do pokoju. Rozejrzała się dokoła, podeszła do zegara i ten arkusz papieru rzuciła do kominka. Usiadła na fotelu, na którym ja się znajdowałem: doznałem wrażenia, że przechodzi przezemnie, odczułem jednak przytem pewien bardzo lekki zresztą opór. Młoda panna nie okazała, iż spostrzega mą obecność. Po chwili weszła pokojówka, zdjęła jej trzewiki, odpięła stanik i gorset i zdjęła suknię. Moja nieznajoma pozostała tylko w krótkiej halce, okazując zgrabne małe nogi, okrągłe ramiona i części piersi. Włożyła na siebie szlafrok i wyszła do pokoju toaletowego. Nie śmiałem za nią iść, nie patrzyłem nawet, gdy wróciła i po zmówieniu pacierza kładła się spać.

Z szelestu kołdry domyśliłem się, że jest już w łóżku. Leżała na prawym boku, z głową na ramieniu: lewa ręka zwieszała się. Włosy, związane niebieską wstążką, opadały na białe plecy; zamyślone jej oczy błądziły po pokoju.

— Czy jest pan, panie Leyr'e? — zapytała półgłosem.

— Jestem! — zawołałem żywo. — Jestem przy pani!

Ukląkłem przy łóżku i usta swe przytknąłem do jej ręki. Łucya nie okazała żadnego wrażenia; nie widziała mnie, nie słyszała, nie czuła mych pocałunków.

Przypomniałem sobie to, com dawniej czynił: położyłem rękę na jej oczach. Usnęła wkrótce i postać szybko zarysowała się, powstając z lekkiego niebieskiego oparu, który dobywał się z ciała śpiącej. Po kilku minutach postać była już zupełna; klęczałem jeszcze przy łóżku z ręką na jej oczach.

— Co pan robi? — zapytała mnie postać.

— Starałem się pomódz sformowaniu pani postaci — odrzekłem powstając.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Młodzież polska na Śląsku.

Młodzież polska, grupująca się w Towarzystwach należących do „Ogniwa“, tegoroczny zjazd delegatów odbyła w Cieszynie. Przez to chciała zwrócić ona uwagę społeczeństwa na kresy zachodnie i rzeczywiście skutek osiągnęła. Zjazd wypadł wspaniale — młodzież witano ze strony rodaków na Śląsku mieszkających z całą serdecznością — również przysłuchiwano się z uwagą poważnym obradom młodzieży.



Młodzież polska na Śląsku: Grupa uczestników zjazdu „Ogniwa“ przed Domem Narodowym w Cieszynie.

Ale i z innych względów zjazd jest ważny. Młodzież nietylko chciała poznać naocznie położenie ludności polskiej na Śląsku — nietylko swą obecnością chciała dodać moralnego poparcia tejże, lecz pospieszyła pierwsza z materyalnem poparciem Śląskowi. Zjazd bowiem uchwalił składać 1000 koron corocznie od młodzieży na potrzeby polskiej szkoły realnej na Śląsku, a nadto wystosować apel do młodzieży polskiej, aby ta udawała się po skończeniu nauk na Śląsk, na posady.

Jak młodzież starała się poznać życie ludności polskiej na Śląsku, niech będzie dowodem, że pragnęła ona wykorzystać każdą chwilę ku temu. We wtorek udała się młodzież do Silczy, wioski pod Cieszynem, celem oglądnięcia gospodarstwa rolnego, podejmowana tam gościnnie i po staropolsku. Wracającą stamtąd młodzież w pochodzie napadła policya cieszyńska — a gdy jej nie mogła sprowokować — uderzyła na nią szablami, wdzierając się aż do Domu Narodowego i aresztując jednego z kolegów, którego jednak na żądanie stanowcze zjazdu natychmiast wypuszczono. Następnego dnia wyjechała młodzież do Ostrawy Morawskiej, aby i ten zakątek zagrożony przez Czechów poznać; tu zetknięto się w kopalniach i fabrykach, które zwiedzano, z ludem pracującym, poznano jego niedolę i jego potrzeby narodowe.



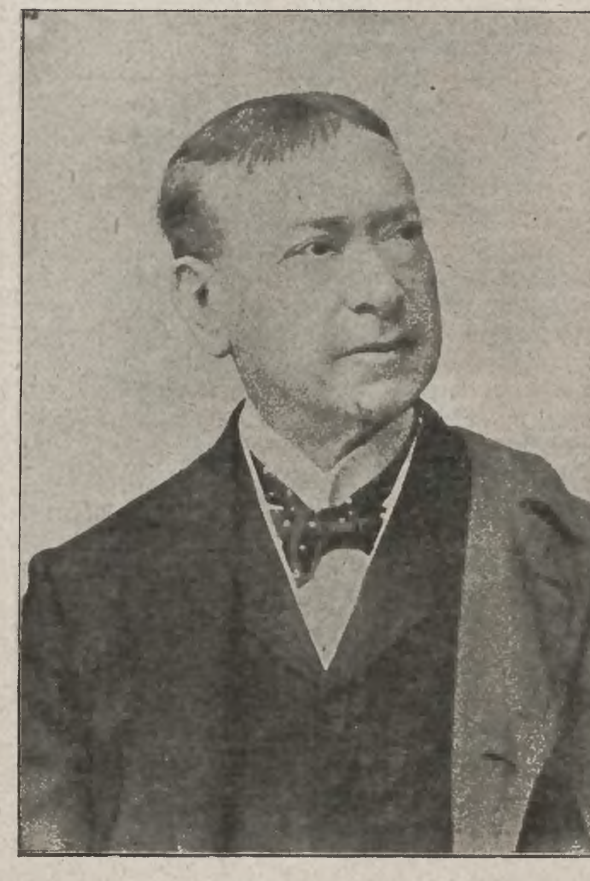
Młodzież polska na Śląsku: Grupa młodzieży z rodziną wieśniaków we wsi Silczy. (Na tę grupę napadła policya cieszyńska).

Zgon znakomitego artysty.

W ubiegłym tygodniu zmarł nagle na udar sercowy w Pradze znakomity artysta nadwornego teatru we Wiedniu Adolf Sonnenthal. Pochodził on z Pesztu, gdzie w r. 1834 ujrzał światło dzienne jako syn ubogiego kupca towarów bławatnych. Początkowo poświęcił się krawiectwu. Przybywszy w swej wędrówce jako czeladnik krawiecki do Wiednia dziwnem zrządzeniem losu udał się do Burgteatru, a gra głośnego wówczas Davisona zrobiła na nim tak silne wrażenie, że porzucił krawiectwo i zaraz nazajutrz zwrócił się do Davisona z prośbą o ocenę jego talentu artystycznego. Próba wypadła dla Sonnenthala bardzo pomyślnie. Davison zwrócił nań uwagę ówczesnego dyrektora sceny nadwornej Laubego. Sonnenthal miał wówczas szesnaście lat. Po debiucie w Temeszwarze i występach w Gracu i Królewcu przybył do Wiednia i tu w r. 1855 otrzymał dekret na zwyczajnego członka sceny nadwornej we Wiedniu. Odtąd rozpoczęła się świetna karyera artysty: dzięki swej pracy, zdolnościom i charakterowi zyskał uznanie publiczności i prasy, a cesarz kilkakrotnie go odznaczył i podniósł do stanu szlacheckiego. W r. 1870 mianowany reżyserem Burgteatru, dwukrotnie miał sobie także powierzone prowizoryczne kierownictwo wiedeńskiej sceny.

Jako artysta był Sonnenthal przedstawicielem tak zwanego kierunku klasycznego, a należał do znakomitości artystycznych zarówno w rolach tragicznych klasycznego repertuaru jak i salonowych nowoczesnego. Prawdziwy artyzm łagodził ujemne strony tego kierunku, piękny głos, dobra deklamacya, szlachetna postawa i gest jednały mu ogólną sympatyę i uznanie. Wadą Sonnenthala było, iż grał tylko role, a nie potrafił wżyć się w przedstawianą przez sobie postać. Szczególnie prasa literacka nie znała granic uwielbienia dla swego ulubieńca, Sonnenthala można było chwalić, a przenigdy krytykować.

Śmierć zaskoczyła go w Pradze, dokąd udał się na gościnne występy. Zwłoki przewieziono do Wiednia, gdzie nader uroczyście pochowano je na tamtejszym izraelickim cmentarzu. Pogrzeb bł. p. Sonnenthala był wielką manifestacyą żałobną, w której udział wzięły nieprzejrzane tłumy publiczności wiedeńskiej. Z żalem prawdziwym żegnano ulubieńca, którego kreacye przez tyle lat zachwycały Wiedeń, a były wzorem dla młodszych artystów.



Zgon znakomitego artysty: Adolf Sonnenthal.



Siostry syamskie: Józefa i Róża Błażkowne.

Kronika tygodniowa.

(Po świętach. — Z Bośni i Hercegowiny. — Nowe trójprzymierze. — Król Piotr i synowie. — Kłopoty agraryuszy. — Reicher i Sojcher. — Ceny biletów kolejowych i monopol zapałkowy. — Teatr powszechny. — Koncerty. — Walka o rekolekcye. — Bunty. — O mandaty).

Naturalnym rzeczy porządkiem Święta Wielkanocne nadeszły i przeszły, pozostawiając u wielu bardzo przyjemne wspomnienia, dla innych stanowiąc dopiero początek właściwego wielkiego postu, w którym to czasie trzeba będzie wszystkiego sobie odmówić, aby módz spłacić dług, zaciągnięty na pokrycie wydatków świątecznych. Pogoda nam jako tako dopisała, w Wielką Niedzielę było dość znośnie, poniedziałek był wilgotny ale zato wtorek od samego rana był właściwie pierwszym dniem wiosennym tego roku. Cieszył się z tego Kraków, gdyż rękawka się udała, cieszyło się i Podgórze, a głównie właściciele tamtejszych jadło- i piwodajni. Chociaż warunki ekonomiczne są coraz gorsze, zabawa szła przez cały czas świąteczny bardzo ochoczo, amatorowie gratisowych wyżerek chwalili sobie zwyczaje staropolskie, nakazujące każdego ugościć przy stole suto zastawionym różnego rodzaju smakołykami, narzekali tylko, że tak we Lwowie, jak i Krakowie odpadło kilka oficyalnych przyjęć z powodu wyjazdu gospodarzy.

Z pod znaku prosiaka i różnego rodzaju alkoholów przeszła ludzkość powoli pod znak rozlicznych aptecznych preparatów, które mają służyć do naprawienia żywota. To też zapotrzebowanie tego rodzaju środków wzmogło się niesłychanie, a jak przed świętami królowali niepodzielnie masarze, cukiernicy i korzennicy, obecnie rekord wzięli aptekarze i radziby byli, aby święta Wielkanocne, w czasie których z takiem zamiłowaniem oddajemy się pijaństwu i obżarstwu, powtarzały się przynajmniej raz w każdym kwartale.

Ex re przygotowań świątecznych daliśmy spokój polityce i zapomnieliśmy o Bałkanach, ale także i o naszych rezerwistach, którzy obiecywali sobie, że podobnie jak i na Boże Narodzenie otrzymają z kraju dowód pamięci rodaków pod postacią kiszek, kiełbas, szynek, placków, jajeczników, mazurków i jak się tam jeszcze nazywają te specyały. Wprawdzie spodziewają się nasi synowie Marsa powrócić już rychło w rodzinne strony, dowód pamięci w wyżej opisanej formie byłby przez nich bardzo mile widziany i podnieciłby tylko ich animusz wojenny, jaki okazują w obronie c. k. szerszej ojczyzny.

Sprawy bałkańskie ułożyły się w ten sposób, że już i Czarnogóra uznała aneksyę Bośni i Hercegowiny. Austrya zaś zrzekła się kontroli, jaką dotąd wykonywała nad czarnogórskim portem w Antiwari, zastrzegając sobie jednak, by ten port pozostał i nadal tylko handlowym. Pokazało się, że obejdzie się bez konferencyi mocarstw, przedstawienia przyjazne urzędu spraw zagranicznych, poparte karabinami i haubicami znalazły posłuch u dworów europejskich, a barona Aehrenthala pasowały na pierwszego dyplomatę Europy. Wobec tego uspokoiło się w Serbii, a nawet zapas złota państwowego, który z Belgradu wywieziono do Niszu, powrócił już na dawne miejsce. Wielka wdzięczność należy się ze strony Austryi „wiernemu sojusznikowi“ cesarzowi Wilhelmowi, który szalę dyplomatycznego zwycięstwa przechylił na stronę austryacką, ale ja osobiście bardzo jestem ciekawy, jakiej też rekompensaty zażądają Prusy za to pośrednictwo, gdyż, jak wiadomo, nic za darmo nie robią, a historya stwierdza faktami, że na pruskiej przyjaźni wychodziła Austrya zawsze tak, jak Zabłocki na mydle.

Zanosi się obecnie na utworzenie nowego trójprzymierza, które utworzyłaby Austrya, Niemcy i Turcya. Na tem trójprzymierzu wyszliby najlepiej Turcy, gdyż zyskaliby poważny punkt oparcia, oba bowiem mocarstwa poręczyłyby Turcyi w zamian nietykalność jej posiadłości, mogłaby więc, nie troszcząc się o zewnątrz poświęcić się pracy nad uporządkowaniem stosunków wewnętrznych. Że ogłoszenie niezależności Bułgaryi nastąpi już w krótkim czasie, nie ulega już żadnej wątpliwości, aneksya Bośni uznana też została przez parlament turecki. Największy kłopot u ma sułtan z ciągłymi buntami, jakie wybuchają na przestrzeni jego imperyum i ze ścieraniem się partyi w samym Konstantynopolu. Ofiarą nieporozumień pomiędzy stronnictwami padł Hassan-Fehmi bej, którego zastrzelono na moście, wiodącym z Galaty do Konstantynopola.

W Serbii nastał względny spokój od czasu renuncyacyi księcia Jerzego. O królu Piotrze prawie nic słychać, o obu jego synach wiemy tylko tyle, że mają ochotę wyjechać za granicę na dalsze studya, ale brakuje monety. Wierzyciele tak pokochali księcia Jerzego, iż żadną miarą nie chcą go puścić ze Serbii, dopóki nie zapłaci swoich długów. Ot, garbaty los, który w jeden i ten sam sposób prześladuje koronowane głowy na równi ze zwykłymi śmiertelnikami. I ja mam w Krakowie takich samych przyjaciół, którzy również otaczają mnie takimi samymi, jak tamci Jerzego względami.

Ponieważ Serbii obiecano rozmaite koncesye ekonomiczne, między innemi pewne *quantum* bydła, które może być wprowadzone do Austryi, powstało między naszymi agraryuszami niezadowolenie, iż interesy ich narażone będą na szwank, albowiem ceny bydła muszą opaść. W ślad za wielkimi rolnikami idą i mali i narzekają także, choć może i niesłusznie. Jeśli bydło serbskie dostanie się do granic austryackich, możemy mieć nadzieję, że ceny mięsa spadną, choć i to bardzo wątpliwe. Nasi panowie rzeźnicy powiadają sobie, że czy bydło drogie, czy tanie, mięso musi być drogie, a im jest droższe, tem konsumentom lepiej smakuje, choć jest kiepskiej sorty. Zupełnie tej samej taktyki trzymają się i panowie piekarze, czyto biali, czy czarni, choć oni ze względu na swe twarde serca powinni wszyscy nazywać się czarnymi. Jest jeszcze i drugie następstwo zatargu serbsko-austryackiego, które odbije się fatalnie na spekulantach zbożowych. W oczekiwaniu kroków wojennych zakontraktowali owi panowie ogromne masy zboża po nader wysokich cenach, gdy termin płatności się zbliży, bankructwa posypią się jak z rękawa.

Początek zrobił już spekulant wiedeński Reicher, który zarwawszy wierzycieli na okrągłe dziesięć milionów, wyjechał sobie spokojnie w cieplejsze strony, pewny, że go nawet nie będą szukać, gdyż zamieszany jest w mnóstwo nieczystych spraw, które nie powinny być rozmazywane ze względu na pewne osobistości. Lwów pokazał także, że nie jest stolicą gorszą od Wiednia, skoro bowiem Wiedeń ma Reichera, Lwów ma pana Sojchera, który, choć w miniaturze, ale wzorował się także na wiedeńskim mistrzu.

Wogóle awantura serbska dla Austryi ma bardzo smutne następstwa, gdyż wyniszczyła ją ekonomicznie, a ślady tego zostaną na długie jeszcze czasy. Jedną z oznak jest projektowane podwyższenie cen biletów kolejowych i zaprowadzenie monopolu na zapałki, co rządowi musi przynieść bardzo poważne dochody, odbije się zaś jak zwykle na naszych kieszeniach. I teraz postąpił rząd wedle swego zwyczaju, stosunkowo najbardziej podwyższono cenę biletów trzeciej klasy, stosunkowo mniej drugiej, najmniej pierwszej. Byłoby daleko odpowiedniejszem, gdyby się to było stało akurat odwrotnie.

Z obowiązku kronikarskiego należy zanotować rozpoczęcie przedstawień w odnowionym Teatrze powszechnym przez p. Rygiera. Nowy kierownik sceny ludowej swoją dotychczasową działalnością jako artysta i dyrektor daje wszelką rękojmię, że nowy przybytek sztuki stanie na tej wyżynie, na jaką poprzedni zarząd wydrapać się nie potrafił, choć trzeba przyznać, że się drapał, le za ucho, gdy krucho było z funduszami. Kraków potrzebuje koniecznie wzorowo prowadzonej sceny ludowej, gdyż jeden teatr dla miasta jest absolutnie niewystarczający. Pan Rygier na seryo zabrał się do rzeczy i gdy jeszcze uda mu się przybytek swej Muzy z ujeżdżalni przenieść do odpowiedniejszego lokalu, będzie już wszystko w porządku.

Skoro zawadziłem o sztukę, muszę wspomnieć i o tak zwanej „Dyrekcyi koncertów krakowskich“, która darzyła nas w wielkim poście całym szeregiem mniej lub więcej udatnych popisów muzykalno-wokalnych. Z rzadką jednomyślnością przyznały wszystkie krakowskie organa prasy, że owa „Dyrekcya“ do zadania swego nie dorosła, jest bowiem tylko najzwyczajniejszem przedsiębiorstwem, obliczonem na zysk, a nie pracującem dla dobra sztuki i do tego nieumiejętnie prowadzonem. Podobne eksperymenty wpływają bardzo ujemnie na rozwój sztuki i przyczyniają się do zabicia poczucia artystycznego u słuchaczów. Można bardzo pięknie znać się na handlu fortepianami, a jeszcze nie jest się przecież znawcą sztuki.

Gwałtowna walka — tu już nie było jednomyślności — wybuchła najpierw w Radzie miejskiej, a potem przeniosła się na szpalty pism o rekolekcye dla nauczycieli. Wolnomyślni widzieli w tem zamach na wolność osobistą i sumienioową nauczycielstwa, klerykali stanąć musieli w obronie. Była to jednak burza w szklance wody i bez epilogu.

Gorsze już następstwa, bo utratę życia ludzkiego pociągnął za sobą bunt aresztantów w pensyonacie pod wezwaniem świętego Michała w Krakowie. Ponieważ zarząd więzienny był tak niedelikatny, iż nie miał wcale zamiaru wypuścić na wolność w czasie świątecznym takich znakomitości w dziale bandyckim i włamywaczy, jak Barcicki, Gielesz, Orkisz i Oficyał, postanowili oni sami ułatwić sobie dostanie się na wolność, wiedząc o tem, że właśnie w czasie świąt, każdy chętny do pracy znajdzie najwięcej sposobności do „roboty“. Nie udało się, a ofiarą padł Barcicki-Bilski, który poległ od kuli karabinowej.

Jeszcze donioślejsze następstwa będzie miał masowy bunt wojsk tureckich w Konstantynopolu, o którym w ostatniej chwili donoszą nasze pisma polityczne Ciekawi Czytelnicy znajdą tam bliższe szczegóły, a sądzę, że każdy podziela zdanie skromnego kronikarza, iż Turcya znajduje się w tak miłem położeniu, jak niektóre kamienice krakowskie, walące się na dowód swej praktyczności, zanim ludzka noga w ich podwoje wstąpiła. Zupełnie tak samo ma się rzecz z Turcyą. Lada chwila spodziewać się można zawalenia Wysokiej Porty, uprzątnięciem zaś gruzów zajmą się bezinteresownie sąsiedzi, którzy bardzo chętnie podzielą się w zgodzie dzierżawami padyszacha. Popłoch też w Konstantynopolu nie do opisania, sułtan zamknął się w haremie i pertraktuje z buntownikami, obiecując im dostanie się do raju Mahometa, byle tylko zaprzestali tych zbytków.

Wobec tych komplikacyi które nagle spadły na Europę (mam na myśli awantury tureckie a nie bunt krakowski) zmienił się spokojny wygląd Europy, a politycy, którzy odpoczęli po trudach świątecznych, skierowali swe perspektywy na Konstantynopol oczekując stamtąd wiadomości. Jedna tylko Holandya nie bierze udziału w ogólnem zajęciu się sprawami tureckiemi, gdyż oczekuje przylotu bociana do zamku królewskiego. Nie ma się i czemu dziwić, gdyż Holendrzy wiedzą dobrze, że w razie bezpotomności królowej Wilhelminy, apetyt na Holandyę mają Prusy, któreby w ten sposób pięknie zaokrągliły swe granice, a Holendrzy tak kochają Prusaków, jak psy dziada w ciasnej ulicy.

Nie bardzo z tego cieszyłaby się i Anglia, gdyby kochany siostrzeniec zbliżył się znowu o jedno staje ku wujciowi, który na godne jego przyjęcie buduje całą eskadrę Dreadnoughtów. Powiększanie flot wojennych tak zajęło umysły państw europejskich, że nawet Austrya buduje nowe okręty tego samego typu, aby kiedyś módz się odwdzięczyć Niemcom za pomoc dyplomatyczną w sprawie zatargu serbsko-czarnogórskiego. Najbardziej cieszą się z tego c. k. podatnicy, wiedząc o tem dobrze, że to znaczy zamach na ich kieszeń i powoli myślą wyemigrować w jakieś lepsze strony, jak to zrobił podobno pan Hochstim, właściciel kantoru wymiany w Rynku, idąc w ślady wiedeńskiego Reichera i lwowskiego Sojchera.

Niby więc mamy pokojowe czasy, choć jeszcze rezerwiści nie wrócili — tymczasem w naszej nawet spokojnej Galicyi przygotowują się dwie wojny. Krzyżak Hohenlohe zamierza poprowadzić krucyatę, aby zdobyć Poronin, o który kłócą się spadkobiercy ś. p. Uznańskiego. Druga wojna będzie się toczyć o mandaty poselskie po Abrahamowiczu i Dzieduszyckim, a srizmografy dziennikarskie we Lwowie notują już poważne wstrząśnienia. My krakowianie od drugiego terenu walki jesteśmy dość oddaleni, aby się obawiać złych jej następstw, ale już i nasze krynice mądrości polityecznej zaczynają się na seryo niepokoić, by przypadkiem mandaty nie dostały się w nieodpowiednie ręce.

Zresztą wszystko idzie u nas po dawnemu, lada dzień spodziewać się należy powrotu do równowagi cielesnej i umysłowej po świętach. Rozpoczniemy znów spokojny żywot lojalnych obywateli, którzy z domu idą do biura a z biura do domu, czasem tylko zbaczając po drodze do knajpki. Ale bo też w Krakowie tak je nęcąco porozmieszczano, że choćbyś miał wolę żelazną jak Bismark, a serce czyste po eleuterycku jak Dr. Dybowski, nie przeniesiem po sobie, by mimochodem nie wstąpić na „jednego“, z którego potem robi się drugi i trzeci, aż do ostatniego, ktory zwykle dopiero szkodzi i sprowadza burzę małżeńską. *X.*

Kontrrewolucya w Konstantynopolu.

W chwili, gdy oddajemy niniejszy numer naszego pisma pod prasę, telegraf przyniósł groźne wieści o zaburzeniach w stolicy Turcyi, noszących wyraźną cechę kontrrewolucyi przeciw komitetowi młodotureckiemu, który dzięki energii swych przywódców, zdołał wymusić na Abdul Hamidzie nadanie konstytucyi i stał się formalnym rządem w rządzie.



Kontrrewolucya w Konstantynopolu: Kiamil-basza, ponownie mianowany wielki wezyr.

Młodoturkom wszystko szło dotąd, jak z płatka, przerachowali się jednak. Zapomnieli widać o tem, że żywioł staroturecki, któremu sułtan w duchu musi sprzyjać, jest jeszcze bardzo silny a następnie zrazili sobie stronnictwo liberalne i chrześcijańskich posłów w parlamencie swemi centralistycznemi dążeniami. W dodatku zaś zadarli z Anglią, przeforsowawszy usunięcie wielkiego wezyra Kiamila-baszy i nominacyę na jego stanowisko Hilmi-baszy, który nie żywił zbytniej sympatyi względem Anglików.

Te i zapewne inne jeszcze przyczyny, o jakich później się dowiemy, spowodowały *pronunciamento* wojskowe dnia 13 b. m. w Konstantynopolu. Ogromna większość garnizonu w tem mieście zbuntowała się otwarcie, odmówiła posłuszeństwa oficerom i wielu z nich pozabijała oraz zagroziła rezydencyi sułtana i gmachowi parlamentu.

Sułtan nie omieszkał skorzystać z tej dla siebie pożądanej presyi i udzielił natychmiast dymisyi Hilmi-baszy, powołując na jego miejsce ponownie Kiamila-baszę. Ustąpili także: znienawidzony przez staroturków prezydent Izby, wybitny młodoturek, Achmet Riza i Rifaat-basza, minister spraw zagranicznych, po którym objął tekę Said-basza. Ministrem wojny mianował sułtan Edhema-baszę, pogromcę Greków w 1898 roku.

Jak się ukształtują dalej stosunki tureckie— trudno przewidzieć. To tylko jest pewne, że obecna kontrrewolucya jest pierwszym krokiem reakcyi przeciw urządzeniom konstytucyjnym, których wartości ogromna większość poddanych Abdul Hamida, ani on sam, dostatecznie ocenić nie jest w stanie.

Wystawa warsztatów studenckich.

Ziarno, rzucone przez wielkiego myśliciela i przyjaciela młodzieży, śp. Henryka Jordana, wydaje dziś bujne plony. Hasło wszechstronnego wykształcenia młodego pokolenia zatacza szerokie kręgi, młodzież coraz liczniej staje do pracy po za ławą szkolną. Nowym, silnym ogniwem w tym łańcuchu wysiłków obywatelskich, są warsztaty studenckie. Mają one nauczyć młodzież szkolną uszanowania dla pracy, przezwyciężenia oporności materyału, wzbudzenia pomysłowości.

W Krakowie istnieją warsztaty studenckie już kilka lat, w ostatnim roku zajętych w nich było 153 uczniów. Lwów dopiero od pół roku z inicyatywy Ligi pomocy przemysłowej posiada warsztaty i jeżeli praca dalej pójdzie tym torem, to rezultatów należy oczekiwać bardzo pięknych.

O pożyteczności i wartości tego rodzaju instytucyi studenckich, świadczy obecna wystawa, urządzona we Lwowie przez polskie muzeum szkolne i Ligę pomocy przemysłowej. W ubiegły czwartek nastąpiło otwarcie wystawy w obecności wybitnych jednostek naszego społeczeństwa.

Wystawa obejmuje nietylko Lwów i Kraków: także studenci z Przemyśla, Podgórza, Bochni, Tarnowa i Tarnopola nadesłali swoje wyroby. Gimnazya w Podgórzu, w Bochni, w Tarnowie (gimn. I.) i w Przemyślu (gimn. na Zasaniu) uprawiają głównie wyroby introligatorskie i to nietylko prymitywne, jak oprawa i broszurowanie książek, lecz także i galanteryjne. Gimnazyum I. i II. w Przemyślu wystąpiło z wyrobami artystycznemi stolarskiemi, w Tarnopolu z rzeźbą w stylu zakopiańskim, w Krakowie głównie z wyrobami drzewnemi, rzeźbionemi i wypalanemi. Niektóre wprost piękne. Studenci lwowscy, których jest około 60, wypracowali bardzo piękne przedmioty z drzewa większych i mniejszych rozmiarów, staranne roboty z zakresu ślusarstwa i tokarstwa.

Całość wystawy budzi bardzo sympatyczne wrażenie. Istotnie podnieść należy żmudną pracę i zamiłowanie młodzieży, a cześć należy się inicyatorom tego uspołeczniającego dzieła i tym, którzy zdolnościami swojemi umieją dzielić się z młodzieżą, tą przyszłą podporą naszej ojczyzny.



Kontrrewolucya w Konstantynopolu: Hilmi-basza, ustępujący wielki wezyr.



Wystawa warsztatów studenckich: Przedmioty wyrobu uczniów z Krakowa i Przemyśla.

Krwawy bunt więźniów u św. Michała.

Tegoroczne święta Wielkanocne zakłócił w Krakowie krwawy bunt więźniów, którego echa rozniosły się szybko po całem mieście, wywołując wszędzie łatwo zrozumiałą sensacyę i poruszenie.



Krwawy bunt więźniów u św. Michała: Roman Bilski-Barcicki, zabity w kaźni.

Bunt wywołali przebywający w więzieniu śledczem u św. Michała bandyci i mordercy: Bilski-Barcicki, sprawca morderstwa rabunkowego w Paczołtowicach i Jakób Orkisz, bandyta z Królestwa, który tymi dniami miał być wydany władzom rosyjskim. Dwaj ci niepoprawni bandyci-mordercy chcieli skorzystać ze słabszego w dniu uroczystego święta nadzoru i wydostać się na wolność. I tylko dzięki przypadkowi śmiały zamiar ich nie powiódł się, tylko dzięki przypadkowi ocalał dozorca Świstuszak, który był przeznaczony na nową ofiarę krwiożerczych rzezimieszków, a jeden z nich przypłacił życiem chęć ucieczki.

Krwawe zajście niedzielne miało przebieg następujący. Bilski-Barcicki i Orkisz postanowili zamordować pełniącego służbę na korytarzu I. p., gdzie mieściła się ich kaźnia, dozorcę Świstuszaka i przy pomocy kluczów, tą drogą zdobytych, wyrwać się na wolność. Aby Świstuszaka ściągnąć do celi, zażądał Barcicki wody i w chwili, gdy dozorca otwierał drzwi celi, Orkisz rzucił się nań, okręcając szyję pętlicą, sporządzoną z ręcznika. Równocześnie Barcicki wepchnął Świstuszaka do wnętrza celi. W czasie tego szamotania zdołał jednak mordowany dozorca wydać donośny okrzyk bólu i przerażenia, co usłyszał drugi dozorca, Pasemkow; znajdował się on wówczas zupełnie przypadkowo na korytarzu II. piętra. Zbiegł więc szybko na dół i zoryentowawszy się odrazu w sytuacyi, pospieszył Świstuszakowi z pomocą. Udało mu się istotnie wyrwać go z rąk oprawców, a równocześnie zaalarmować zarząd więzienia. Tymczasem zbuntowani bandyci zabarykadowali się w swej celi, poniszczyli w niej całe urządzenie, a uzbroiwszy się odłamkami desek i drągami, grozili śmiercią każdemu, ktoby się poważył przekroczyć próg celi. Mimo tych gróźb zarządca więzienia p. Przibyl usiłował przy pomocy pięciu dozorców, uzbrojonych w pałasze i karabiny, opanować celę i uspokoić zbuntowanych więźniów. Ponieważ jednak wszelkie upomnienia i groźba użycia broni nie skutkowały, ponieważ bandyci trwali w uporze i odgrażali się nieustannie, broniąc przystępu do kaźni, widział się zarządca Przibyl zmuszonym chwycić się ostatecznego środka i polecił dozorcy Wincentemu Wolańskiemu, by przez otwór drzwi kaźni strzelił na postrach. Sam rónocześnie otworzył drzwi, chcąc wejść do wnętrza. W chwili tej właśnie zamierzył Bilski-Barcicki wielkim odłamem drzewa ugodzić wchodzącego do kaźni zarządcę, przyczem pochylił się, by ująć ręką lufę karabinu. Że zaś równocześnie dozorca Wolański wypalił, kula ugodziła w głowę Barcickiego i roztrzaskała mu czaszkę. Bandyta padł bez życia na ziemię, co widząc drugi zbuntowany więzień, Orkisz, bez dalszego już oporu poddał się.

O krwawem zajściu zawiadomiono niezwłocznie władze, przybył więc na miejsce st. radca Kaiser, zastępujący wiceprezydenta Pogorzelskiego, prokurator dr. Doliński, lekarz sądowy dr. Jankowski i sędzia śledczy Gniewosz. Celę, w której rozegrał się straszny wypadek, opróżniono, więźniów zaś,



Krwawy bunt więźniów u św. Michała: Wincenty Wolański, dozorca, który strzałem z karabinu powalił Barcickiego.

którzy w niej przebywali, a udziału w buncie nie brali, rozmieszczono w innych kaźniach, poczem wytoczono szczegółowe dochodzenia.

Rezultatem ich będzie oskarżenie Orkisza o usiłowane morderstwo na osobie dozorcy Świstuziaka i o gwałt publiczny.

Katastrofa w Inowrocławiu.

W sam Wielki piątek, podczas gdy nowy kościół katolicki pod wezwaniem N. Maryi Panny w Inowrocławiu przepełniony był popołudniu nabożnymi, zaczęła się zapadać z okropnym hukiem podłoga kościelna po stronie północnego portalu. Wkrótce potem runął sam portal, poczem utworzyła się rozpadlina na 28 metrów długa i na 25 metrów szeroka. Ponieważ zachodzi obawa, że usuwanie się gruntu będzie w dalszym ciągu następowało — przeto musiano także opróżnić z mieszkańców budynki probostwa a sam kościół uważany jest za stracony. Prawdziwie cudownem zrządzeniem Opatrzności nikt z ludzi nie postradał życia przy tej katastrofie.

Rozmiary jej jednak nie ograniczą się prawdopodobnie do samego tylko kościoła N. M. Panny, gdyż całemu miastu zdaje się grozić zagłada. W ulicach sąsiadujących z kościołem, zaczynają się rysować mury domostw, świątynię i plac koło niej pokryła już woda, oraz powstało mnóstwo szczelin w gruncie, mających pół metra i więcej szerokości.



Wystawa warsztatów studenckich: Przedmioty wyrobu uczniów lwowskich

Powodem tego strasznego wypadku jest gwałtowne wtargnięcie wody z kopalń soli, bezpośrednio sąsiadujących z Innowrocławiem, skąd przedostawała się do warstw gruntowych aż pod samem miastem. Już przed rokiem wewnętrzny zalew zniszczył prawie zupełnie te kopalnie, a miejscowa ludność polska widziała w tym karę Bożą, za zmienienie przez Prusaków odwiecznej nazwy miasta na niemiecką „Hohensalza“.

Obecna katastrofa jest dotkliwą stratą dla ludności katolickiej, która wystawiła romański kościół N. Maryi Panny kosztem pół miliona marek przed niespełna ośmiu laty. W tym roku właśnie miał być ten kościół przyozdobiony polichromią.

Przypominamy, że Innowrocław, będący niegdyś stolicą województwa, leży w tej części Kujaw, która jest pod panowaniem Prus, liczy 25.000 mieszkańców, a w tem 15.000 Polaków.

Odpowiedzi Redakcyi.

Stały prenumerator w Krakowie: Zwróciliśmy się z zapytaniem do naszego korespondenta we Warszawie. Po nadejściu odpowiedzi nie omieszkamy ją WPanu zakomunikować.

Głosy publiczne.

Dyrekcya cyrku Edison dołożyła wszelkich starań, aby nowym prog ramem, zestawionym z najnowszych zdjęć, Szanowną Publiczność pod każdym względem zadowolnić.

Między innymi dane będzie oryginalne zdjęcia ze sceny nadwornego teatru w Londynie p. t. „Juliusz Caesar“, dramat Szespira i słynne miejsce klęski Napoleona I. „Waterloo“.

Z półek księgarskich.

Wincenty Korolewicz **Książę Popiel**. Tragedya Kraków 1909. G. Gebethner i Spółka. Odbito w drukarni W. L. Anczyca.

Pan Korolewicz znany już chlubnie w naszej literaturze jako autor „Ocknienia“ i „Pod piramidami“, wystąpił znowu z tragedyą napisaną pięknym wierszem, a osnutą na tle mitycznych dziejów Polski. Ostatnia praca dowodzi o dużym talencie autora, władającego po mistrzowsku językiem, a przenosi nas nad brzegi Gopła w czasie panowania księcia Popiela IV. Charakterystyka postaci, wdzięczna forma i archaiczny język składają się na całość, godną polecenia, w równej mierze zasługuje na uznanie i część typograficzna. Dziełko ozdobione jest fototypią rysunku artysty-malarza Fr. Türka, przedstawiającą Pieśniarza Popiela.

Zgrzyty. Napisali Wacław Teodorkowski i Władysław Herz. Główny skład w księgarni Gebethnera i Wolffa w Warszawie, druk A. Rippera w Krakowie.

Zbiorek poezyi, napisanych białym wierszem w duchu modernistycznym, wydany nader staranme i opatrzony na karcie tytułowej i okładce illustracyami allegorycznemi. Jeden z autorów p Herz, znany jest jako kompozytor kilkunastu udatnych utworów muzycznych na fortepian i orkiestrę.



Krwawy bunt więźniów u św. Michała: Jan Świstuszak, dozorca, którego bandyci usiłowali zamordować.

Mattia Battistini.

W czasach dzisiejszych, kiedy zarówno na estradę jak i na scenę wstępują śpiewacy, bez zdobycia poprzednio sprawności technicznej, postać Battistiniego, ulubieńca syreniego grodu, barytona o aksamitnym głosie — jest istotnie niezwykłem zjawiskiem, nie nadarmo obdarzanym taką sympatyą słuchaczy i takim, oraz tyloletniem uznaniem jednomyślnem prasy i znawców.

Z imieniem Battistiniego łączy się i pojęcie wysokiej sztuki władania głosem, w samej sobie mistrzowskiej, godnej zachwytu zarówno ze stanowiska dźwiękowo-estetycznego, jak i ze stanowiska naukowego—twierdzi jeden z najwybitniejszych znawców sztuki operowej nadpełtwiańskiego grodu dodając, iż „śpiew Battistiniego, to dla śpiewaków wykład akademicki i zarazem demonstracya pedagogiczna nieoceniona“.

Mattia Battistini przybył przed kilkunastu laty do Warszawy już jako śpiewak mający za sobą nie długą lecz świetną przeszłość śpiewaczą, przybył w owych czasach, kiedyto na warszawskiej scenie prym trzymały Włochy, zaś polscy śpiewacy służyli jako *malum necessarium* do zapychania luk, a właściwie do śpiewania kilku oper polskich. Z licznej, olbrzymiej niemal rzeszy doskonałych i dobrych śpiewaków, którzy przewinęli się przez warszawską scenę, on jeden pozostał najdłużej na raz zajętem stanowisku, dzięki nietylko przewybornej szkole *bel canta* — lecz i osobistym przymiotom artysty, kolegi i człowieka. Battistini należy dziś do najznakomitszych— a niewielu — w Europie mistrzów prawdziwego *bal canta*, zajmując godne stanowisko obok śpiewaków takich jak: Bonci, Stangino, Reszke Jan itd., a posiadający obok czysto śpiewackich zalet, jeszcze i tę, iż postacie przez się kreowane „stawia“ bez zarzutu i w sposób zdradzający w śpiewaku wybornego aktora, umiejącego odczuć i oddać to wszystko, co się składa na sumę typu i charakteru danej postaci. Tu leży cały urok przepysznego śpiewu Battistiniego i tajemnica kolosalnego powodzenia, jakim się cieszył i cieszy się stale na wszystkich scenach i we wszystkich partyach, które kiedykolwiek kreował.

Obecnie lwowska publiczność rozkoszuje się śpiewem Battistiniego, znakomity bowiem artysta ten przybył tam na szereg występów. Chętniebyśmy posłyszeć radzi go i w Krakowie, gdzie niestety mimo zamiłowania do śpiewu i pieśni, dotąd nie mamy stałej opery a i o amatorską jaką taką, także jakoś trudno.

Na estradzie śpiewa Battistini mniej chętnie, mimo iż jako wykonawca pieśni szczególniej repertuaru włoskiego, jest podobno niedościgniony i pomimo iż sam jest autorem kilku bardzo pięknych pieśni. *Stabur.*



Mattia Battistini.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 14.

Łamigłówka: Azot, niwa, noga, Adam.
Krzyż magiczny: Suchoty, Rochatyn, Protazy.
Zagadka przysłowiowa: Dobra żona męża korona.
Zagadka geograficzna: Biała, Radom, Płock.
Krzyż magiczny: Przeciwko, Pulcharya, angielska.
Szarada: Radymno.
Zadanie rachunkowe: Ubito 14 zajęcy i 22 kuropatw.
Łamigłówka: Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.
Szarada: Karłowicz.
Łamigłówka: Czas to pieniądz.
Szarada: Karolina.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp. O. Górkowa Chyrów, J. Trelski Kielce, W. Kościński Lublin, M. Klemensiewicz Kraków, K. Łopata Lwów, S. Ryglicki Tarnopol, K. Osadziński Warszawa, L. Zdziarski Kraków, J. Liebeskind Warszawa, W. Wondraczek Morawska Ostrawa, S. Zehngut Lwów, B. Grodzicki Kraków, W. Bromowicz Kraków, L. Mańkowski Bochnia, A. Biliński Tarnopol, W. Gryglewicz Lwów, K. Dmuchowski Kołomyja, J. Gerlach Lwów, B. Łotocki Lwów, S. Sokalski Kraków, M. Golska Kraków, H. Silbermann Kraków, W. Czernicka Lwów, H. Maciejowska Kraków, R. Guzik Sosnowiec, S. Cześnikiewicz Kraków, C. Kozłowski Warszawa, E. Jezierski Kraków, E. Bandrowska Kraków, J. Ogłaza Sosnowiec, S. Daniel Sosnowiec, J. Łuszczyk Sosnowiec, H. Chodkiewicz Warszawa, K. Fuch Czeremchów, J. Augustynowicz Żywiec, A. Polończykowa Żywiec, A. Bocsoń Bóbrka, S. Danziger Osiny, B. Ramułtowa Jeżów, K. Jurkiewicz Gwoździec, Z. de Boulange Gawłówek, A. Rotter Stanisławów, M. Klapphoiz Kraków, St. Pietrzak Bibice, M. Łaszkiewiczowa Trzciana, K. Michałowicz Nisko, J. Senensieb Lwów, M. Swiszczowska Swoszowice.

Nagrodę przez losowanie otrzymał *W. Gryglewicz Lwów*. Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

Zmienne kwietniowe powietrze, pociąga zawsze za sobą mnóstwo katarów, których nie należy zaniedbywać, aby nie pociągnęły za sobą poważniejszych słabości. Doświadczeni czytelnicy wysławiają właśnie jako środek zapobiegawczy dla osób wrażliwych i dzieci używanie Faya prawdziwych sodeńskich mineralnych pastylek przeciw przeziębieniu, jak też jako środek do zwalczenia przeziębienia i zdaje nam się wskazanem na środek ten na tem miejscu zwrócić uwagę naszych P. T. Czytelników.

Nadesłane.

Kącik humorystyczny.

Facecye autentyczne.

Do pewnego garnizonu granicznego, gdzie oficerowie z powodu nudów zaglądali może zanadto do kieliszka, zjechał na inspekcyę dywizyoner. W czasie „szkoły", gdy oficer egzaminował, jak się żołnierz ma zachowywać w stosunku do swych towarzyszy, wmieszał się do dyskusyi sam generał, gdyż mu się zdawało, że zanadto przedmiot traktowany jest teoretycznie, czego żołnierze nie rozumieją. Zwracając się do jednego z szeregowców, który miał wcale inteligentny wygląd, zadał mu następujące pytanie:

— Proszę mi powiedzieć, co żołnierz powinien zrobić, gdy spostrzeże na ulicy kamrata pijanego, leżącego w błocie?

— Melduję posłusznie ekscellencyo — odpowiada zagadnięty — żołnierz powinien go podnieść i bocznemi ulicami odprowadzić do koszar!

— Dobrze, a czy to już wszystko?

— Nie ekscellencyo. Powinien go zaprowadzić do „cymbry" i położyć do łóżka!

— Doskonale! A może co jeszcze?

— Powinien zrobić mu zimny okład na głowę i postawić miednicę koło łóżka!

— Wybornie! Widzę, że żołnierz ma w tych rzeczach doświadczenie! Czem jesteś mój drogi?

— Melduję posłusznie ekscellencyo, iż jestem officiersdienerem u pana lajtnanta X-a.

W knajpie.

— Tak sobie Czesi z nami postępują? Panowie! Proponuję, abyśmy ich zbojkotowali, niech żaden z nas nie weźmie odtąd pilznera do ust...

Gospodarz: U mnie panowie pić spokojnie możecie, mój pilzner nawet nie widział Czech.

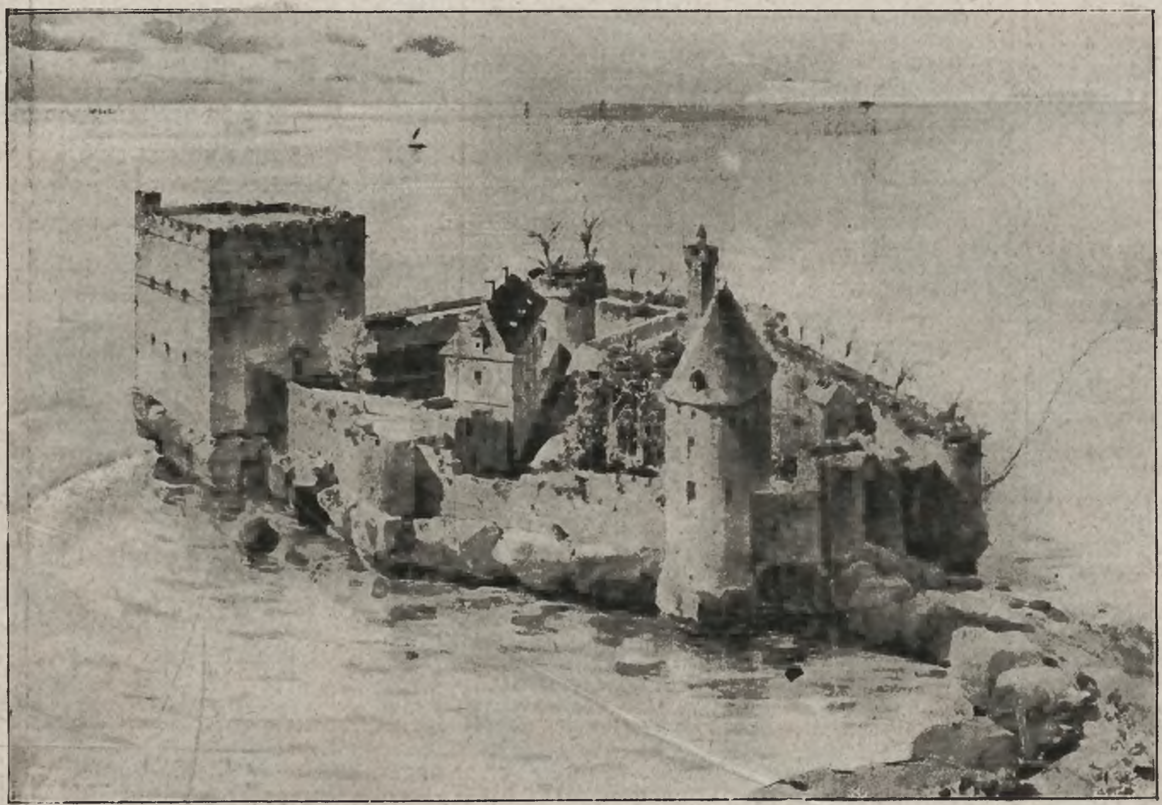
Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

Zapach Damy w czerni

napisał Gaston Loroux.

9 (Ciąg dalszy).

I posuwa się przed nami w swej białej sukni. Niezwykle piękną jest w tym południowym ogrodzie między groźną, starą wieżą i lekkimi arkadami na poły rozpadniętej kaplicy. Obszerny dziedziniec, który mijamy, jest tak zarośnięty ze wszystkich stron roślinami, krzewami, kaktusem i aloesem, laurem i dzikimi różami, iż można było sądzić, że wieczna wiosna wybrała sobie za mieszkanie ten zakątek. Podworzec ten dzięki wiatrom i niedbałości



ludzkiej stał się pięknym, dzikim ogrodem, który właścicielka pozostawiła jakby umyślnie w tak opuszczonym stanie. Poza tą balsamiczną zielenią widać było najpiękniejszy zabytek dawnej architektury: wznosiły się najczystsze łuki smukłej gotyckiej kaplicy, wyniosłe kolumny, pnące się w niebo z owiniętemi dokoła siebie długiemi splotami geranjum i werweny. Dachu nie ma już ta kaplica. Nie ma już i murów. Pozostały z niej tylko ślady tej kamiennej koronki, cudowną jakąś równowagą utrzymującej się w górze nad ziemią.

Z lewej strony stoi potężna, wielka wieża z dwunastego wieku, którą okoliczni mieszkańcy nazywają Wilczycą i której nie mogło nic naruszyć, ani czas, ani ludzie, ani pokój, ani wojna, ani armaty ani burze. Jest taką, jaką ją oglądały hordy Saracenów w 1107 roku, rozbijające się o mury zamczyska. Tutaj obrała sobie siedlisko Edyta Rance.

Gdy zwróciłem wzrok od rzeczy do ludzi, ujrzałem, jak Artur Rance patrzy na pannę Darzac, ona zaś i Rouletabille zdają się być daleko od nas. Darzac i Stangerson zamienili z sobą kilka obojętnych zdań. W gruncie jedna myśl zajmuje tych wszystkich ludzi, którzy nic nie mówią, a gdy odzywają się, wzajemnie się okłamują. Doszliśmy do galeryi.

— Nazywamy to Wieżą Ogrodniczą — mówi Edyta swoim dziecięcym szczebiotem. Z tej galeryi widać cały zamek, stronę północną i południową. Proszę popatrzeć...

I wyciągniętą ręką ze zwieszającym się z ramienia szalem wskazuje nam różne punkty.

— Każdy tutaj kamień ma swoją historyę. Opowiem je, jeżeli panowie będą grzeczni.

— Jak Edyta jest wesoła — szepnął Artur Rance.

— Zdaje mi się, że ona jedyna tutaj jest wesołą...

Przeszliśmy przez galeryę i weszliśmy na nowy podworzec. Naprzeciw wznosi się nowa wieżyca. Widok istotnie wywiera wrażenie. Jest ona czworoboczna i stąd też pochodzi jej nazwa. Ponieważ wieżyca ta zajmuje najważniejszy punkt ufortyfikowania zamku i stoi w rogu, nazywa się także Wieżą Narożną... Jest to miejsce najgłówniejsze w tem zbiorowisku obronnych murów. Ściany jej są grubsze i wyższe od innych, złożone z potężnych kamieni i głazów, spojonych jeszcze rzymskim cementem.

— Tamta wieża w przeciwnym rogu — mówiła dalej Edyta — nazywa się wieżą Karola Zuchwałego, ponieważ zbudowano ją według planów rego księcia, gdy należało przystosować obronę zamku do pocisków armatnich. Oh! ja jestem bardzo uczona... Stary Bob urządził w tej wieży swój gabinet pracy. Szkoda, gdyż mielibyśmy tam doskonałą salę jadalną... Niczego jednak nie mogę odmówić staremu Bobowi!.. Stary Bob — dodała — jest to mój wuj... on sam chce, bym go tak nazywała, bo tak na niego mówiłam, gdy byłam mała. ...Obecnie niema go tutaj... Przed pięciu dniami wyjechał do Paryża i jutro powróci. Pojechał tam, by porównać kości, jakie znalazł w Czerwonych Skałach z kośćmi Muzeum przyrodniczego w Paryżu... A oto matnia...

I pokazała nam pośrodku tego drugiego podwórza studnię, którą nazywała romantycznie matnią i nad którą rósł pochylony eukaliptus.

Gdyśmy przeszli do tego drugiego podwórza, poznaliśmy lepiej — przynajmniej ja, gdyż Rouletabille co raz bardziej obojętniejszy na wszystko zdawał się nic nie widzieć, ani słyszeć—plan fortu Herkulesa, jak nazywano cały kompleks budynków i murów, należących do zamku. Ponieważ plan ten jest niezbędny do zrozumienia wypadków, jakie się tam rozegrały po naszym przyjeździe, załączam go poniżej tak, jak go narysował Rouletabille.

Zamek ten został zbudowany w roku 1140 przez książąt Mortola. By go oddzielić od stałego lądu, nie zawahali się oni z tego małego półwyspu uczynić wysepki, przecinając pas ziemi łączący ją z brzegiem, który znowu został ufortyfikowany rodzajem barbakanu ze spuszczanymi mostami. Obecnie jednak z barbakanu tego nie pozostało ani śladu, a z biegiem wieków wysepka ta połączyła się znowu z lądem, stanowiąc tylko mały półwysep. Do fortu tego wchodziło się więc przez bramę północną, której strzegły dwie wieże A i A[1], połączone sklepieniem. Wieże te, które wiele ucierpiały przez dawne napady genueńczyków, zostały odbudowane przez państwa Rance i przeznaczone na mieszkanie dla służby. Parter wieży *a* zajmował portyer, który z pokoju swego przez oszklone drzwi, znajdujące się pod sklepieniem, mógł widzieć każdego, kto wchodził lub wychodził z zamku, gdyż tylko przez to wejście można było dostać się do wnętrza zabudowań zamkowych: dawniej było ono zamykane na potężną bramę dębową, okutą w żelazo, dzisiaj jednak zastępowała ją zwyczajna furtka. Przez furtkę tą wchodziło się, jak już powiedziałem, na pierwszy dziedziniec, otoczony wieżami i murami, które jednak już się kruszyły. Wieże B, B[1], B[2] przez dłuższy czas zachowywały swoją wysokość, w następstwie jednak zostały zniżone do poziomu murów, by otworzyć widok na morze z Nowego Zamku.

Tarasy wież i murów obsadzone były palmami, które jednak z powodu silnych wiatrów morskich słabo rosły. Pochylając się z murów na zewnątrz, można było przekonać się, że fort ten pozostawał jak dawniej silną twierdzą, wznosił się on bowiem na wystających z morza skałach, zajmując całą ich powierzchnię.

Na drugi dziedziniec prowadziło wejście przez galeryę H, którą państwo Rance nazywali Wieżą Ogrodniczą, a która w istocie była tylko grubym pawilonem, bronionym niegdyś przez wieżę B[2] i przez drugą wieżę, zburzoną jednak podczas budowy Nowego Zamku. Poziom tego drugiego dziedzińca był cokolwiek wyższy od pierwszego. Skała narożna stanowiła tam jakby naturalną kamienną podstawę, na której wznosił się czarny, potężny Stary Zamek, zwany powszechnie Wieżą Czworoboczną w odróżnieniu od Wieży Okrągłej, czyli Wieży Karola Zuchwałego. Do tego Starego Zamku dostać się można tylko przez drzwi H. Złączony on był szerokim murem z wieżami B[2] i L, w której wuj pani Edyty urządził swą pracownię, na powierzchni zaś tej wieży został założony cudowny ogród wiszący.

(Ciąg dalszy nastąpi).

